



NUMER



58
1945



PORADNIK

dla pracowników

ŚWIETLIC

żołnierskich



wydawnictwo
polskiej Y.M.C.A.
w W. Brytanji



Od Redakcji:

Z ŻYCIA POLSKIEJ YMCA

W komunikacie Informacyjnym P.A.Prasowej "Świat-pol" z dnia 30.VI.1945 znaleźliśmy miłą wzmiankę o działalności Ekipy Polowej Polskiej YMCA, pióra Wład. Leno, którą w dosłownym brzmieniu podajemy:

"Każdy Polak, który był na kontynencie europejskim, wyraża się z uznaniem o pracy Ekipy Polowej "YMCA". A każdy z polskich żołnierzy musiał ją napotkać, bo "Imka" jest wszędzie, gdziekolwiek znajduje się żołnierz polski. Widziałem wozy polskiej "Imki" w śnieżnej zawiei styczniowej na drogach holenderskich, widziałem je w deszczu ulewającym sumące przez Belgię, widziałem we Francji i myślę, że jeszcze zobaczę je w Rzeszy, gdzie niosą pomoc setkom tysięcy Polaków, uwolnionych z hitlerowskiego jarzma."

Korzystając z tego, że i my w naszym Skrzydle myśliwskim mamy swoją "Imkę", - mogłem dowiedzieć się więcej o historii tej Ekipy Polowej i zapoznać się z cyframi, odtwarzającymi jej pracę.

"Imka", zaczęła prace organizacyjne już w marcu 1944 r., gdy otrzymała zezwolenie pójścia na kontynent z oddziałami polskimi.

"Start" do obecnej pracy rozpoczęła 17 października tegoż samego roku, mając 5 wozów i 20 osób personelu, w tym 9 pań świetliczerek. W każdym z samochodów były radioodbiorniki, w dwóch scenki teatralne, fortepiany, biblioteki polowe, aparaty kinowe i trochę filmów krótkometrażowych. Zapasy mniej "duchowe" Imka dostaje na miejscu ze składnicy wojskowych. Początkowo "Imka" obsługiwała tylko Dywizję Pancerną, dopiero 1.11.1944 roku jeden wóz przybył na stałe do lotnictwa, a ściślej mówiąc, do polskiego myśliwskiego skrzydła.

"Imka" polska w Dywizji obsługuje 38 punktów /w tym sporo kantyn stażych: 6 w Dywizji, 3 we Francji oraz klub "Imki" w Bredzie/, nie licząc stałej obsługi rannych i chorych żołnierzy w szpitalach. Wozy dywizyjnej "Imki" od dnia 17.10.44 do dnia 31.12.44. wykonały 196 wyjazdów w teren, a od dnia 1.I.45 do 15.3.45 - 225 wyjazdów.

Obecnie Ekipa "Imki" została zwiększona o kilka osób z Francji, Belgii i Holandii, pracowników lub tłumaczy, oraz o pięć samochodów przydzielonych z Dywizji, co jest wyrazem uznania dla jej działalności. Nasza lotnicza "Imka" nie pozostaje w tyle i chociaż działa tylko jednym wozem, obsługuje wszystkie polskie jednostki lotnicze na kontynencie, rozrzucone na dużej przestrzeni, oraz kantyny stałe. Wóz lotniczej "Imki" prawie zawsze jest w drodze i nieraz się dziwimy, jak nasza "jedynaczka" daje sobie radę i w jak sposób zdążyła przy pracy w kantynach stażych przejechać od listopada do kwietnia b.r. 8.850 mil, sprzedając w tym okresie 2 miliony 400 tysięcy papierosów, - nie licząc innych rzeczy niezbędnych do życia, których na wolnym rynku dostać tu niepodobna.

Wyżej podane cyfry dają wystarczające pojęcie o nasileniu pracy. To też nie dziwnego, że wszyscy w lotnictwie mówimy o pracy naszej "Imki" w samych superlatywach. Popierając to twierdzenie przytaczam zdanie generała Maczka, który ogłosił mi krótko:

"Ja i moi żołnierze mamy dla pracy "Imki" ożdkowite uznanie i uważamy ją na jedną z najsprawniej działających polskich organizacyj".

Wyższe Studium Polskie przy
Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Na początku lutego 1945 zostało powołane do życia przez Delegata Ministra W.R. i O.P. Delegata Polskiej Akademii Umiejętności oraz Polską YMCA we Francji - Wyższe Studium Polskie w Paryżu.

Celem Studium, jak mówi Par.2. Regulaminu, "jest umożliwienie przede wszystkim młodzieży polskiej, studiującej i pracującej w Paryżu, zapoznanie się z zagadnieniami nauki i kultury polskiej i przygotowanie jej w ten sposób do pracy w Polsce".

Studium finansowane jest przez Polską YMCA we Francji.

Słuchacze, którzy korzystają z nauki bezpłatnie, dzielą się na: a/ zwyczajnych i b/ wolnych.

Wykłady odbywają się w poniedziałki, środy i piątki w ilości 6 godzin tygodniowo. Komwersatoria odbywają się w stosunku 1 godzina na 4 godziny wykładów.

W okresie od 6 lutego do 6 lipca 1945 r. - prowadzone były wykłady w zakresie 3-oh wydziałów, a mianowicie: humanistycznego, prawnego i ekonomiczno-społecznego.

Wśród wykładowców m.in. byli: dr.Cz.Chowaniec, prof.Z.Dygat, W.D'Eroville, S.Gałęzowska, dr.W.Grzybowski, ks.dr.A.Jakubisiak, dyr.Fr.Pużaski, dr.L.Frendl, Stef.Jankowski, L.Karpiński, dr.M.Korwicz, prof.B.Przegaliński, Z.Woydat.

W nowym roku szkolnym 1945/46 Wyższe Studium Polskie w Paryżu, w miarę potrzeby, kontynuować będzie rozpoczętą pracę.

Odczyty organizowane przez Polską YMCA
w Paryżu.

Polska YMCA organizuje odczyty w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Odczyty te odbywają się każdej soboty - i obejmują szeroki wachlarz zagadnień społecznych, kulturalnych i gospodarczych. Dotychczas takich odczytów odbyło się 32 - z frekwencją od 50 do 150 słuchaczy na każdym. Bardzo duży odsetek słuchaczy stanowili Polacy zamieszkali jeszcze w okresie przedwojennym w Paryżu.

Dyrektor KENNETH SMITH wizytował
ośrodki Polskiej YMCA

Z ramienia Dyrektora Generalnego Polskiej YMCA p.Pawła Supera wizytował ośrodki Polskiej YMCA p. Kenneth Smith z U.S.A. P.Smith w ozasie od lutego do końca czerwca b.r. bawił w W.Brytanii, Palestynie, Syrii, Egipcie, we Włoszech, Francji, Belgii i w Niemczech.

Na terenie Francji i Niemiec, prócz placówek Polskiej YMCA, p.Smith zwiedził kilka obozów dla t. zw. "displaced persons" i b.jeńców wojennych.

W końcu czerwca b.r. p.Smith odleciał do Stanów Zjednoczonych A.P. aby złożyć raport Polonii Amerykańskiej oraz Dyrektorowi Generalnemu Polskiej YMCA. Życzymy p.Smithowi powodzenia w zrozumiałym interesie naszej pracy. Mamy nadzieję, że wkrótce zobaczymy p.Smitha znowu w naszym gronie we wspólnym wysiłku przy realizacji naszych planów w dziedzinie pomocy b.jeńcom wojennym i wysiedleńcom na terenie Niemiec.

PORADNIK dla pracownik^{ów} ADWISEER Świetlic żołnierskich for workers in Polish soldiers social centres

Nr. 58.

REDAKCJA : POLSKA YMCA w W. BRYTANII, 61, EATON PLACE, LONDYN, S.W.1.

Czerwiec 1945

Redakcja:

A. Wójsiaki
I. Włoczkowa

Numer zdobiła:

Br. Michałowska



KSIĄŻKA W ŚWIETLICY

Głód książki polskiej jest obecnie zjawiskiem powszechnym we wszystkich niemal środowiskach polskich: środki do zaspokojenia tego głodu są, niestety, bardzo małe.

W sytuacji, w której książek jest mało a czytelników wielu, jest tylko jedna rada: czytać głośno w liczonym gronie słuchaczy. Ma to swoje liczne dobre strony, wymaga jednak umiejętnego zorganizowania zespołu.

Przed wszystkim trzeba znaleźć odpowiedniego lektora, kogoś kto lubi i umie czytać głośno. Musi to być ktoś, posiadający miły głos, dobrą dykcję oraz inteligencję i prostotę interpretacji. Głośne czytanie nie jest deklamacją; trzeba w nim unikać zarówno monotoności głosu, która nuży, jak patosu w intonacji, który irytuje. Na podstawie konkursu głośnego czytania, przeprowadzonego na kursach nauczycielskich, stwierdzono, że przeciętnie na 30-40 osób znajdujemy 2-3 osoby czytające naprawdę dobrze.

Świetlica jest idealnym miejscem dla zorganizowania zespołu głośnego czytania. Dla zachęty i znalezienia dobrych lektorów warto urządzić konkurs głośnego czytania, przeznaczając na nagrody - o ile możliwości - książki polskie.

Zespół powinien koniecznie znaleźć czas na rozmowy o czytanej książce i na przedyskutowanie zagadnień w niej zawartych. Rozmaitość naświetleń i porównanie poglądów nie tylko pogłębia zrozumienie czytanej książki, ale stwarza doskonałą okazję dla wykształcenia umiejętności kulturalnej wymiany zdań i wyrobienia poszanowania dla cudzych sądów.

Dla ożywienia pracy zespołu można wprowadzić pewne łatwe do zrealizowania imprezy, związane bezpośrednio z czytelnictwem. Mam na myśli: sądy i inscenizacje.

Sądy.

Sąd literacki może być dwójakiego rodzaju: może to być sąd nad książką lub sąd nad postacią powieściową. Cały zespół bierze udział w takim sądzie, a czytelnicy są uważani za sędziów. Z głównym przemówieniem występuje "z urzędu" obrońca i skarżyciel, a każdy wypowiadając się, uzupełnia ich dowodzenie i bierze udział w formułowaniu wyroku.

W skład kompletu sądowego powinni wchodzić: przewodniczący, 2 sędziów, prokurator, obrońca-oskarżony i świadkowie.

Sądy takie są imprezą, która pozwala przedstawić w plastycznej postaci opinie zespołu na temat czytanej książki i ująć ostateczną konkluzję w konkretną formę wyroku.

Przygotowanie Sądu wymaga od uczestników dobrego przeczytania książki, dokładnego omówienia charakteru osób występujących w książce, ustalenia faktów, które mogą być omawiane, podziału ról, a także wszystkich gruntownego przemyślenia idei przewodniej utworu.

W wypadku sądu nad książką można zorganizować sąd w formie pisanej ankiety, przygotowując jednakowe dla wszystkich formularze. / Powinny one zawierać, poza danymi osobistymi piszącego, takie pytanie jak: Co mi się najbardziej w książce podobało? Co mi się nie podobało? Czego nie rozumiem? itd / Odpowiedzi powinny być krótkie. Za najlepsze z nich można ustalić pewne nagrody, nadając całej imprezie charakter konkursu.

Inszenizacja.

Dla inszenizacji należy wybrać z powieści jakiś fragment najbardziej sceniczny, tj. posiadający wyraźną charakterystykę osób oraz krótką akcję, stanowiącą zamkniętą w sobie całość. Aktorzy, rozdzielivszy między sobą role, powinni się posługiwać - w miarę możliwości - tekstami oryginału, uzupełniając je własnymi słowami zależnie od widocznej potrzeby.

Mniej wyrobieni czytelnicy nie zawsze chwytają treść utworu i nie zawsze rozumieją psychikę występujących postaci. Natomiast czytelnicy o większym wyrobieniu czytają często zbyt szybko i dlatego bardziej powierzchownie. Inszenizacja jest tą metodą, która zbliża książkę do czytelnika, pozwalając na bardziej intensywne i bardziej osobiste przeżycie pewnych udratyzowanych fragmentów czytanej książki. Zaczynać należy od rzeczy najprostszych i bardzo nieskomplikowanych dialogów. Inszenizacje mogą być opracowane z całą dokładnością /dekoracjami, charakterystyką /, a mogą być również urządzone bez tych akcesoriów, tylko ze słowem wstępnym, które będzie wprowadzeniem widzów w daną akcję. Przykłady takiej inszenizacji podajemy na str. 144a.

I. W.





Kukułka



Ten z pośród nas, najmłodszy, nazywał się Tancuś.

Nie chodzi o prawdziwe imię z metryki, które jest dla szkoły, dla gwiata - lecz o imię rodzinne, które robi się samo, dla domu, a chociaż tylko "na niby", ono jedno istnieje naprawdę.

Tancuś - czyli dźwięk zbliżony do tańca - ale więcej tu na wesołości zależało, niż na tańcu.

Trzeba widzieć, jak ojciec idzie z nami przez Planty, gdy zbieramy kasztany. Traci nas z oczu, snów ukazujemy się, we dwóch tylko, Irzek i ja. Trzeba widzieć, jak ojciec natychmiast odrzuca w bok głowę i woła:

- Gdzie jest Tancuś?

Wypowiedziasz to, musi się uśmiechnąć.

Trzeba słyszeć, jak się nas o coś pyta po staroświecku: Irzka, mnie - żeby "poznać nasze reszki". Musi przerwać potem, kucać, spojrzeć w oczy najmłodszego i jakby na nowo zaczynać, spytać z nowym westchnieniem:

- No, a ty Tancusiu?

Te samo mama. Może nie te samo? Może więcej - ale zawsze, zawsze inaczej.

Nie przeskakało to nam wcale, przeciwnie, mieliśmy z tego ogromne korzyści. Po pieniądze na cukierki, na bilet do panoramy lub cyrku; albo z powodu wydzicia przez nas szyby; albo, gdy się okazało, że w jakiejś sprawie od tak dawna kłamiemy - zawsze Tancuś!

Nigdy nie bał się iść. Przychodził, mówił całą prawdę i czekał, składając sobie ręce na pierśiach.

Nie pamiętam jak wyglądał. O ojcu, o matce, brać, nie pamięta się tych rzeczy. Wie się tak głęboko i na pewno, że pomieszczone to już jest ze wszystkimi myślami na zawsze.

Nie pamiętam, jak wyglądał, ale doskonale przypominam sobie chwilę, w której uznałem go za najmłodszego brata, będącego - w środku między nami wszystkimi.

Dzień ten był od samego początku bardzo radośny. Czułem po prostu, jakby wszystko wędznie objęte było jakąś poszóstką prześliczną. Wszystkie przedmioty naszego mieszkania, które już "i tak" kochaliśmy bardzo, wystąpiły jeszcze bardziej.

Od samego rana zamieszkała we mnie i chyba w nas wszystkich - niechże mi wolno będzie wyrazić się dawną gwara domową - "sama grzeszność".

Wszystko, czego się tknę, co srobię, jest dobre i grzeszne.

Ojciec nie miał chorych, nasz służący Tomasz stworzył pokoje mieszkania na przestrzał. Od sypialni aż do salonu, wychodzącego na Sukienice, widać było coraz więcej słońca.

Ojciec leżał w łóżku i czytał lekarzkie gasty, pełne rysowanych maszyn, przyrządów i kolorowych

wnętrznosci.

My z salonu przez wszystkie drzwi, czyli wawozy, zdobywaliśmy ojca swymi armiami. Turkusi, granadierzy, kosynierzy, sokoli, baszybożony z ogromnym bębniem, bersalierzy, Bułgarzy w łapciach, Afgańczycy z nożami w zębach, Serbowie, ułani, strzelcy konni generała Zajączka, pułk piechoty Wodziokiego, pruska landwera, Austriacy, żuawi w ozerwonych portkach, Kościuszko, świetnie "wycięty" Sobieski, Wilhelm I stary, Madaliński, Hektor, Achilles, trochę starożytnych Greków z tarozami, okręty, łodzie papierowe, wszystkie zwierzęta naszych menażeryj, specjalnie tresowane dla wojny, straż ogniowa, nawet urzędnicy kolejowi dwóch stacji, podarowanych niegdyś przez Gucia - wszystko leciało zgodnie "na łeb na szyję" zdobywać ojca w łóżku.

Gdy Bartosz Głowacki imieniem tych wojsk zatknął na jaśku ojca sztandar kosynierski - odwołała nas mama do jadalni.

Sprawa była ważna - robił się strudel z jabłkami. Z małej opaseczki ciasta przedło się i przedło i i ciągnęło - półk się nie wyolęgło równiusińskiej mgły, przez którą można patrzeć i widzieć.

"Grzeszność" nie opuściła nas do obiadu. Spóźnił się, choć mieliśmy wyjechać jak najwcześniej za miasto, na Panięskie Skały.

Wszyscy trzej siedzieliśmy w otwartym oknie salonu, i samo się dzisiaj działo - że się nikt zanadto nie wychylał. Patrzyliśmy na konie, pyszne bułanki, i na powóz, rozmawiając o tym, jakiej są maści i jakiej innej mogłyby być jeszcze? I gdzie kto będzie siedział? O kozioł ciągnąć będziemy węzełki. I - że po Panięskich Skałach buaszowali ongiś Tatarzy.

"Wściekle" dawno temu.

Jeżeliby można powiedzieć, że pogoda z pięknej staje się piękniejszą - to właśnie tak się zdarzyło po południu. Sukienice aż zbladły, akacjom tylko przybyło jasności... Mogłyby chyba same latać po powietrzu.

Tomasz poszedł do baboi z połową strudla, na półmiaku w serwiecie - dla pokazania, bo to był turniej legumnowy - od baboi przyleciała Hanusia z ciastkami francuskimi.

- Zabierzemy ze sobą, - krzyknął ojciec, już w piaskowej zarzutce, - ani chwili dłużej nie czekam, szkoda słońca.

Tego dnia, za miastem, w powozie, po drodze przez Błonia zrozumiałem "najmłodszość" Tancusia i - że przebywa po środku nas wszystkich.

Nie dlatego, że nikomu nie pozwolono przebywać na koźle. Ani nie dlatego, że Tancuś siedział między mamą a ojcem, a my z Irzkiem we dwóch na przedniej ławeczce.

Nie dlatego!

W pewnej chwili Tancuś zsunął się ze skórzanych poduszek, zdjął kapelusz, który nosił na gumce,

i zapomniawszy coś, stał między nami wszystkimi. Długie, złote włosy rozwiały mu się szeroko, przystrzyżoną grzywkę rozdmuchał powiew jazdy.

Nic się przecież nie dzieje? Jedziemy, stangret cmoka na konie, słychać tupot nierówny i dudnienie kół, na chodnikach spacerują różni państwo i ludzie - a ojciec kłania się niektórym.

Nic się nie stało, - jedziemy, - tymczasem Tanczuś się śmieje. Więcej nosem zmarszczonym niż ustami, niby po kryjomu, aż oczy z niebieskich zrobiły mu się granatowe.

Śmieje się i "zbiera" nasze ręce. Po jednej od każdego.

Gdyśmy wszyscy podali, wziął je między dwie swoje, przyłożył do policzka, do ucha, i tak "słuchając", - chciał zajechać aż na Panieńskie Skały.

Wtedy ojciec powiedział:

- Ależ naturalnie, Tanczuś najmłodszy jest w pośrodku wszystkich.

Zrozumiałem - nie wiem co? bez sensu, może po

swojemu - ale że to jest najprawdziwsza prawda! Chociaż wysiedliśmy z powozu u stóp wzgórz i poszliśmy w las już tylko plechotą - radość tego dnia wcale nie zmalała. Gdy ojciec zaczął malować, powiększyła się nawet.

Dotąd mam ten widok przed oczami. - Na brzegu szerokiego zboża nasz Kraków, olbrzymie wieże mniejsze stąd od gałęzi bzu, przez które patrzysz. Ojciec trzyma pod wąsami dwa, trzy pędzle, mokre, innymi maluje. Macza je sobie na palecie w utwierdzonym, blaszanym garnuszku, rozrabia kolory i - oko zmrużywszy - wyciąga plamy na płótnie.

Mama siedzi obok. Czyta, oddycha, ozasem patrzy przed siebie, znów w książkę i znów na nas. Nic do nikogo nie mówi. Jest różowa, nie wiem w jakiej sukni, ale - jeżeli poci głoszają, że blask szczęścia może w ludziach gościć - to gości w jej oczach!

Tyle szczęścia - można je poznać choćby z rozdzielenia włosów na matczynej głowie. Unoszą się, skręcają, cieniują - i znów błyszczą. Gdy patrzy na ten Kraków w słońcu, czy też na nas - nic po prostu nie widzi. Uśmiecha się tylko, jak przez sen - jej skronie stają się świetliste od uśmiechu.

My leżymy obok, w trawie. Wolno nam robić mnóstwo rzeczy - może nawet wszystko?!

Wolimy oglądać farby ojca. Zdaniem Irzka, najpiękniejszy kolor na świecie ma kalodont. Drugiej takiej różowości spotkać nigdzie nie można. Niestety - kalodontem, jako kolorem, nie malują. Nie malują też złotem, tylko je robią na obrazie "za pomocą cieni".

I - żółty z niebieskim daje zielony.

I - odkręcamy tubki farb, aby je wachać. Wszystkie pachną świeżą posadzką.

I - pan Karmański, znajomy ojca, malarz prawdziwy, który ma być u nas znowu dziś wieczorem, po wieczore - wyrabia własne farby, trąc proszki w różnych młynkach.

I - kiedy się zacznie jedzenie ciastek od babci?

I - coby tu jeszcze robić?!

W tej chwili właśnie, gdyśmy tak leżeli na świeżej murawie, wszyscy trzej ciałami na kocu, żeby się nie zaziębić - w tej chwili właśnie, gdy się nam dalszy wątek rozmowy urwał - rozległ się niespodzianie głos kukułki.

Irzek skoczył na równe nogi:

- Kukułka!

- No więc kukułka, - rzekł ojciec, przez wąsy, zagryzione z pędzlami, - oóż z tego? Nie przeszkadzajcie mi, chłopcy.

Zakukała znowu kilka razy. Wilgotny, pusty głos poleciał przez drzewa, krzaki, przez liście - bez żadnego zatrzymania.

Zerwaliśmy się ja i Tanczuś.

- Mamo, - powtórzył Irzek, - to kukułka!

Mama popatrzyła na nas z książki, światłem rozczytanych oczu, jak przez sen.

Zbiliśmy się we trzech w gromadkę i szeleszcząc starą ściółką leśną, poleciliśmy prędko za głosem. Irzek powiedział, że kukułkę trzeba pytać, a ona odpowiada - najlepiej pytać jednak o lata - czyli o ludzkie życie.

Tanczusiowi i mnie i Irzkowi stanęły nagle żywe przestraszenia w oczach. Pamiętam - słońce na naszych głowach, szelest wiewiących liści pod nogami, złote łąki jasności na mchach.

- Gdzie jesteście, chłopcy? - zapytała mama z daleka.

- My wróżyliśmy - odpowiedzieliśmy z wąwozu jedno-głośnie.

Zapadła cisza. Znowu ją przerwał pusty, toczony głos ptaka.

- Na nic nie odpowiada teraz - rzekł Irzek tajemniczo.

Zmarszczył brwi trzy razy, "na znak prawdy" uderzył się w piersi i zapytał:

- Kukułko, kukułko - jak długo będę żył?

Nasłuchiwaliliśmy, idąc przez gąszcz za głosem, wpadając w doły wilgotne. Dwadzieścia - trzydzieści - czterdzieści...

Pięćdziesiąt!

Aż się liczyć nudziło - o dwa lata pokłóciliśmy się z Irzkiem. Było już coraz więcej. Sześćdziesiąt - siedemdziesiąt.

Szliśmy na palcach, głos coraz słabiej odzywał się spośród wysokich buków.

Siedemdziesiąt kilka - może osiemdziesiąt - już dość.

Pobiegliśmy na skraj wzgórz, zadyszani, krzy-cząc:

- Irzek będzie żył osiemdziesiąt lat, może więcej - tak powiedziała kukułka.

Ojciec bąknął przez pędzle: "Całkiem głupia zabawa" - i odeszliśmy zawstydzeni.

Teraz - ty!

Teraz - ja! - Poszliśmy "prosić" o mnie. Stoi-my w wąwozie, znów krzyczymy: - "Kukułko!" - pusty, okrągły głos ptaka składa rok za rokiem - długie równe dziesiątki.

Teraz Tanczuś.

Nie wołał, jak my, ani szczył do góry wyciągał.

- Kukułko, ile lat? - zapytał, ręce, jakby na przywitanie całego lasu, rozłożywszy gościnnie.

Pusty wilgotny głos tuż nad naszymi głowami wylizował w ciszy sześć równych czystych "lat".

Tanczuś ruszył naprzód, na wzgórek, ku rodzincom. Szliśmy za nim przestraszani. Już się ukazali - ojciec z pędzlami w wąsach, mama obok pochylona nad książką.

Siedzieli cicho, spokojnie jak do fotografii.

Tanczuś zatrzymał się nad nimi ze skargą, że

mu kukułka wywróżyła tylko sześć lat.

Czytali, malowali - dalej. Może nie usłyszeli?
Powtórzysz głośniejsze.

Mama podniosła głowę, jakby w nagłym przebudzeniu. Z jej oczu znikł zamglony blask czytania. Stały się twarde, ciemne jak kamień - całą twarz ścisnął nagle, porwał i obwinął przeciąg ogromny.

- Coś ty powiedział? - szepnęła.

Podszedł całkiem blisko i powtórzył. Książka spadła mamie z kolan, ojciec umióśił oczy znad półtętna, popatrzył i rzekł po długiej chwili:

- Tak powiadasz? - Pędzel po pędzlu wyciągał z ust, powtarzając: - Ty tak powiadasz.

Wszyscy milozeli.

Ojciec powtarzał oierpliwie, coraz weselej, tyle razy - póki nagle Tanczuś cicho się nie roześmiał, mama za nim... Póki Tanczuś nie przyskoczył nagle do ojca, nie schował głowy na szerokich piersiach, z których wytrysnął okrzyk:

- Moje dziecko!

Słońce zachodziło, nie mogliśmy dłużej przebywać na Panińskich Skałach, wieczorem spodziewaliśmy się u nas pana Karmańskiego.



Pan Karmański był wysoki, miał orli nos i "chyrę" malarską na głowie. Urodził się w tym samym mieście, co nasz ojciec - daleko nad Dniestrem. Chodził zawsze z gwoździem w kłapie, a odznaczał się ogromnym paznokciem małego palca prawej ręki. Na paznokciu tym możnaby przytkać, jak na grzebieniu, gdyby nie obawa, że się złamie.

Jako "narzędzie" służył do malowania pastelą.

Pan Karmański oświadczył ojcu wieczorem, że wybiera pastel, w takich właśnie tonach widzi, czy też najlepiej "czuje", naszego Tanczusia:

Bardzo nas bolało, Irzka i mnie, że ojciec każe malować Tanczusia, a nas nie! Czyż chodziło o ładność? Synowie nie potrzebują być ładni, - i tak są synami; po drugie, gdyby nas ubrać tak samo, tak samo posadzić na tle jedwabnej kotary w pracowni malarskiej - byłibyśmy też ładni.

Czy może chodziło o spokojne siedzenie?

Tanczuś siedział, zdaniem pana Karmańskiego, idealnie. Ręce miał złożone na kolanach, oczy utkwione w okno. Pan Karmański mówił, że Tanczuś patrzy tak mądrze - "jakby słuchał czasu". Kto wie jednak, czy mybyśmy też nie potrafili "słuchać czasu" na aksamitnym fotelu "w obliczu" takiej draperii?!

W miarę pracy malarskiej okazało się, że nawet łatwiejby było z nami!

Karmański oświadczył mamie pewnego popołudnia, w lecie, iż wcale się nie skarży, ale wydaje mu się, że albo mu się "coś na płótnie pomyliło", albo prostu jest nagle dwóch Tanczusiów.

Jeden dawniej zaczęły, na obrazie, i drugi, który siedzi przed kotarą, całkiem inny.

Mama zerwała się, przestraszona, stając między synem a portretem. Pan Karmański wyciągnął mały palec z długim paznokciem przed siebie. Patrzyliśmy na pana Karmańskiego, "jak na głupiego", nie rozumiejąc, co się tu znów dzieje? Przez twarz mamina leciał jeszcze raz zimny, ogromny przeciąg

- choć ołna były pozamykane, bo pan Karmański nie znosił hałasu przy pracy.

Po nieudalym posiedzeniu wytłumaczyła nam mama, że nie powinnismy zazdrościć portretowania. Przede wszystkim "wogóle" - nigdy nikomu niczego nie zazdrościć.

- Po wtóre, - mówiąc te słowa, zawstydziała się nagle, - po wtóre, wy jesteście całkiem zdrowi. Tanczuś pije tran. Że też wam chłopcy nigdy do głowy nie przyszło?! Tran przecież niewiele się już różni smakiem od rycynusa!

Parę tygodni później musiał Tanczuś pić nie żaden tran - ale piółam.

Zgadzał się na to pod warunkiem, byśmy wszyscy przy tym byli. Inaczej nigdy nie starczy mu odwagi.

Działo się to w kancelarii ojca, koło jedenaście. Oglądaliśmy w imbryku sine, mokre liście piólamu i śmiałyśmy się do naszego brata, gdy zaczynał pić wywar. Zaglądając mu w wysoko podniesione oczy, wołałyśmy:

- Śmiało, Tanczusi, śmiało, nic się nie bój!

Wypiąwszy, chował się w drżące objęcia matki, która za każdym razem powtarzała:

- Przecież ja nie chcę poić swego syna piólamem! Sam wiesz, - jak ja nie chcę!...

Z tych wszystkich przyczyn wazstko zaczęło "ić" inaczej między nim a nami - chociaż ciągle byliśmy takimi samymi synami tych samych rodziców.

Weźmy dla przykładu fakt najprostszy - nasze imieniny i jego.

Gdy się tylko zaczęły zbliżać jego imieniny, czuć było przygotowania całkiem inne, a gdy nastał sam dzień, chociaż Tanczuś właśnie leżał w łóżku, drzwi się nie zamykały od rana.

Takiej furi tortów, takich gór ciastek, takich pudełek żelaznych żoźmierzy, leżących na różowej atłasowej ściółce, takiej szabli, karabinu, halmy, całego pudełka z czarnoksięstwem - tylu różnych wspaniałych rzeczy nie widziało nasze mieszkanie - jak mówiła Filipina - od początku świata.

Skarby te leżały na kołdrze Tanczusia. Był przeziębiony, od czego mu oczy zmalały trochę i głos zgęstniał, cofnąwszy się z "powodu obrzęku migdałów" do gardła.

Solenizant - chociaż zaziębiony - gospodarował cały dzień, dając się nam bawić prezentami.

Wieczorem, gdy "się skończyli" chorzy ojca, przejechaliśmy całym łóżkiem do salonu. Podarunki rozłożyło się na podłodze od pieca aż do okien. Irzek i ja bawiliśmy się "darami". Tanczuś, przysunięty do fortepianu, wybierał sobie z klawiszy jakąś muzykę.

Na to wszedł ojciec, stanął w drzwiach i popatrzył. W pokoju robiło się już ciemno, - listopad przecie, - w piecu strzelał ogień. Ojciec zawołał mamę. Czekali w drzwiach oboje, czy też patrzyli - czy słuchali?

Ojciec wyjął ręce z kieszeni, podszedł na palcach do fortepianu, pochylił się nad głową Tanczusia i powiedział między złote jego włoski:

- Naturalnie - ty jesteś w środku całego domu.

Powiedział to - gdy nagle drzwi się otwarły i wszedł jeden z naszych wujów, mały, ale srogi, z oczyma, jak świeże kasztany na uwiedźkiej twarzy.

Wuj Kazimierz, doktor od dzieci. Przywitał się z mamą, z ojcem, Tanczusowi głowę odsunął znad klawiatury, odchylił całą twarz ku światłu i popatrzył na nią uważnie - jak się czyta stronicę trudnej książki.

W salonie zapadła nagle cisza.

- A my?! - zawołał Irzek.

Wuj Kazimierz machnął ręką, jakbyśmy wcale nie byli potrzebni.

Nie mieliśmy o to do niego pretensji. Irzek twierdził, że wuj uczył się "zanadto" chorób dzieci - i na całe życie brzydzi się nawet własnych synów. Jak wiele musiał się być uczyć, miarkowaliśmy z tego, że bardzo długo mieszkał w Wiedniu na Kinderspitalgasse /tak się adresowało listy/. Słowo to rozumieliśmy doskonale po polaku i po niemiecku.

Wysunęliśmy się z salonu, wuj pobył jeszcze trochę i wyszedł do przedpokoju z ojcem.

Wdziwając płaszczy, powtarzał:

- Nie wiem, nie wiem, ale dla pewności?...

Czyż nie?...

Ojciec odprowadził go aż na schody.

Z głębi z mroku jeszcze raz wypłynął niespodzianie głos wuja:

- Czyż nie? Dla pewności?...

Nazajutrz przyszli we dwóch, ze sławnym wtedy w Krakowie profesorem Pieniążkiem.

Od rana mówiło się o tym Pieniążku - cieszyliśmy się "szalaniem" z tego naswiaka. Nikt nie przypuszczał jakiegoś nadzwyczajnych oudów - ale -

"Można się nazywać "pioniążkiem", a być oszłościem, panem, dorosłym, doktorem, jak wszyscy. Ale, jeżeli nagle - dajmy na to - Pieniążek stanie się rzeczywistością miedzianym groszem? - Siedzi przy biurku pan doktor... Nagle, - nie wiadomo dlaczego, - patryk; zamiast "pana" leży na fotelu grosz?!

Oto rzecz zabrzania, wesoła, szalona - która ostatni raz w życiu podobała się nam - trzem braciom razem...

Irzek pokazywał to nawet "na sobie". Siadał, potem włożył pod krzesło i przez trzcinowe plecionie wypychał w górę miedzianka. Zanosiliśmy się ze śmiechu. Tanczus - choć szyja bardzo mu już spuchła - rosgarniał powietrze z radości.

Rodzice wcale nie chcieli patrzeć na tę zabawę. Ojciec chodził na palcach, nie pozwalając siadać na krótku Tanczusia, mamie wszystko leciało z rąk. Leciało z rąk - na serio. Nie tak, jak Filipinie - trzaak! huruburu! ale oo weźmie, to się samo wysłiznie i nie ma - nie ma - nie ma.

Pan Pieniążek przyszedł dopiero wieczorem, z wujem Kazimierzem. Wyrzucili nas do jadalnego, ale zapomnieli drzwi zamknąć.

Pan Pieniążek wcale nie był śmieszny. Czekając na coś, chodził po pokoju, mruzczał - długie poły surduta wiały mu po bokach, jak czarne skrzydła.

Nagle - chodzenie ustało. Wasysoy trzej, ojciec, Pieniążek i wuj Kazimierz, skupili się nad krótkim Tanczusia. Patrzyli na niego, a on na nich - bezbronny, malutki - bo dla wygody i w nagrodę za chorowanie leżał w krótku mamy.

Straszno się nam zrobiło. Stali nad nim wasysoy trzej, w czarnych surdutach - jak wielka, ciemna skała.

Naprzeciw tej skały siedziała przy Tanczusiu

mama. Patrzyła im prosto w oczy, pilnie, uważnie, srogo. Jej twarz zrobiła się malutka, włosy w nagłym przeciągu płynęły równo w tył - za czoło - z głowy - w cień.

"Śoiana trzech doktorów" rozkruszyła się. Za stołem ukazał się profesor Pieniążek z okrągłym lustrem na czole. Lustro to trzymało się za pomocą czarnej przepaski.

Przestraszyliśmy się jeszcze bardziej - wyglądał jak spocyny cyklop, z białym okiem nad brwiami.

Wuj Kazimierz przeniósł na drugą stronę doktor-ską lampę ojca, z blaszanym kominem. W kominie tym mieniło się rozżarzone światło.

Mama ostrożnie wybrała Tanczusia z krótką i poniosła naprzeciw.

Jako synowie doktora snaliśmy się na badaniu gardła, na umięjętnym oddychaniu, - zatrzymać, odetchnąć, nie oddychać, - i na wołaniu w porę głośno: - a - a - a - a - a.

Umieliśmy doskonale - bez życzoski.

"A - a - a - a", które rozległo się w piersi Tanczusia, porwane, postrzępione, sprawiło, że uciekliśmy! Przez długi, ciemny korytarz do kuchni, do Filipiny, za bezkę z wodą.

Tu nas znalazła mama.

Taką ją pamiętam tego wieczoru - i tak było...

Widziałem potem w życiu różnych ludzi, którzy szli, by spełniać rozmaite rzeczy. Jak szła wtedy nasza matka - chodziła tylko żołnierze do najcięższych szturmów.

Prędko - skurozona - z głową naprzód pochyłoną. Przeprowadziła nas z kuchni do kancelarii ojca.

Gdyśmy stanęli przy umywalni z przepływającą wodą, puściła końce naszych palców i zapytała:

- No więc tak? No więc oo?

Skądże mogliśmy wiedzieć?!

Przez twarz jej przelatowało zdziwienie tak ogromne - ogromne - ogromne - jakiego w życiu nie widziałem i za skarby świata, serca, życia, nigdy więcej widzieć nie chcę...

Pochyliwszy się, jej aseptac do nas bardzo wyraźnie. Widziałem z bliżka jej oczy. Już nie były niebieskie... Wielkie, purpurowo-czarne.

- Pójdziecie z domu do babci. - Na Karmelicką. - Będziecie tam grzeźni. - Tak. - Gdy będziecie iść do szkoły - powiedźcie babci, żeby waszeźnie budziła. Nie wolno tu wstępować. Ale wstaniecie wozęźniej i przed pójściem do szkoły zatrzymacie się naprzeciw naszych okien. - Przed kościocem świętego Wojciecha. - Będziecie czekali. - Ja wyjdę do okna i zawsze dam wam znak. Słyszycie?! - Porozumiemy się na migi. - A teraz...

Zdawało się, że chce nas uściskać. - Odsunęła się w tył.

- A teraz, pokażcie, czy umiecie? - Jak płuco-cie gardło - nie nie pamiętam!

Mówiła ciągle aseptem.

- Nie tak! - Wyjęła nam z rąk asklankę i pokazała sama. - Płucać głęboko - głęboko. - Tomasz was odprowadzi. Gdzież jest Tomasz?!

Czekał w przedpokoju. Pozawijał nas, żeśmy ledwie mogli oddychać. Wziął za ręce. Zaczęliśmy iść powoli ze schodów, z tornistrami na plecach, mama w futrze na ramionach, z świecą w ręku, zastępowała za nami. Poszła aż do bramy. Odwróciliśmy się - śnieg padał - na miejscu było oicho.

Jeszcze raz machnęła ręką. Pod wysokim sklepieniem starej sieni wydawała się nam bardzo malutka.

U babci, na Karmelińskiej, już pierwszego wieczoru powariowalibyśmy z nudów, gdyby nie nasz najstarszy wuj, Guccio.

Babcia "wystąpiła" zaraz z olbrzymimi kielichami "kwasu Borna" - nikt nie chciał płukać. Dopiero, gdy Guccio oświadczył, że ten kwas może być trucizną, jeśli się przez nieuwagę połknie choćby jedną kroplę - wypukaliśmy do dna oba kielichy.

Babcia wystąpiła z długą mową o chorobie dyfteryście, czyli dyfterii, którą ma Tanczusi, i że wobec tego powinniśmy się zachowywać dwa razy grzeczniej! ... Na szczęście, Guccio zaraz rozpoczął ze mną wyborną grę - o dwa grosze - czy po ciemku trafię do ust łyżką?!

Urządźwszy spanie w salonie, chociaż babcia być przy tym, jak będziemy odmawiali "co najmniej" podwójne paciorki - na szczęście, Guccio zaczął opowiadać o gwiazdach w połączeniu z mleczną drogą - i zamęliśmy nie wiadomo kiedy.

"I tak" - trzeba było wcześniej wstawać, przed szkołą, i iść przed świętego Wojciecha na dawanie znaku od mamy.

Cały czas pobytu u babci, choć nie było tam naszych sprzętów, ale tylko obce, choć nie było rodziół - powodziło się nam nieźle. Zaraz drugiego dnia, - nie Guccio, jeszcze inny wuj, adwokat, - przyniósł gruszkę prawdziwą, wielką, jak z ziemi obiecanej, którą jadło osiem osób i wszystkie miały dość. Mogliśmy się o wiele mniej wozyc - do mięsa podawali zawsze konfitury - u nas ojciec nie pozwoliłby na coś podobnego za nic na świecie.

Przez cały czas pobytu - mimo że się nam nieźle powodziło - co dzień rano byliśmy przed świętym Wojciechem. Przychodziliśmy nawet za wozem i musieliśmy czekać na śniegu.

Po naszych oknach drugiego piętra - tuż nad malowanym na murze herbem olbrzymim - nic nie można było poznać. Termometr "reumir" wisiał na swoim miejscu, otulony śniegiem - jak zawase.

Gdy się mama ukazała, wszystko się nam od razu przypomniało.

Kilka pierwszych ranków patrzyła na nas - Irzek to doskonale powiedział - jak na porabane drzewo. Czyli jak na przedmioty zwykłe - obojętne.

Ochodziliśmy z przed okien smutni i zawstyżeni. Powiedziałem wtedy, że Tanczusi umyślnie choruje - by nas wykurzyć z domu.

Po tygodniu zaczęło się coś zmieniać.

Mama schudła, zbladła - szerniała. Ale "przeociąg", który nas tak przestraszył, ułożył się trochę na jej twarzy. Mniej moony i gwałtowny - stał się podobniejszy do zwykłego wiatru.

Nasza mowa na migi rozwinęła się bardzo dobrze. Mieliśmy już mnóstwo wypróbowanych i zrozumiałych znaków.

Mama, uchyliwszy się lekko, wyciągała ręce poza siebie, niby kołysząc kogoś w czarnej głębi za szybą. - Znałyżo to o chorym Tanczusiu, - jak się ma.

Innymi ruchami pytała nas o nas. Pukanie do ozoła i czytanie z dłoni rozłożonych - znałyżo uczenie. Składanie rąk pod głowę - dobre spanie. Kilkakrotne przyłożenie palców do warg - dobre,

grzeczne jedzenie.

Odpowiadaliśmy ze śmiechem: machając chusteczkami.

Po paru dniach został znów tylko jeden znak - w głębi za szybą kołyszący czarne powietrze trwożnie umieszczonymi rękami. Na twarzy mamy zbrakło już na wszystko miejsca, zostały same ostre, długie kreśli.

W tym czasie przyszedł właśnie do babci wuj Kazimierz. Popatrzał na nas mądrym "zakurzonym" spojrzeniem, jakby zdziwiony, że ciagle tu jesteśmy. Zastanowił się - i kazał się "wzynosić".

Irzek odpowiedział:

- To się nazywa wyrzucenie kogoś za drzwi - ale wuj powtórzył:

- Lepiej z daleka ode mnie, wzynosić mi się zaraz.

Rozmawiali długo z Guccio, z babką, Kazimierz chodził tam i napowrót po dywanie /dlatego słyszeliśmy co mówi/ i powtarzał dwa zdania.

Albo zdanie:

- Robi się wszystko, co jest w ludzkiej mocy.

Albo zdanie:

- Czy serce wytrzyma? rozumie mama? Czy wytrzyma?...



Od tej wizyty zaczęło ochnąć wszystko nawet tu, na Karmelińskiej. Jeden Guccio był dzielny - jak zawsze. Otworzył z nami do spółki fabrykę papierowych wyrobów, które przez długie wieczory sporządzaliśmy pod jego "egidą" - nikt nie wiedział, co znaczy "egida"?! Sporządzaliśmy konie trojańskie zwykle, łodzie pancerne, portmonetki, solniczki i papierowe strzały.

Cichło - i cichło.

Przychodziliśmy co dzień przed świętego Wojciecha - na próżno. Mama nie pokazywała się w oknie.

Gdy się pierwszy raz nie pokazała, Irzek, po długim oczekaniu zażartował:

- Zobacysz, w końcu nasz termometr urwie się i stłucze.

"Reumir" tkwił przy szybie jak zawsze na miejscu - ale rozplakaliśmy się nagle i z tym płaczem pobiegliśmy do szkoły.

Następnego dnia rano poszedł z nami Guccio. Nie chciał wstać z łóżka oczywiście - ale gdy się już serwał, poszedł.

Czekamy - śnieg - wszystko na całym rynku białością zakryte - za naszą szybą mieszkalną nikogo - ciemna pustka - jak woda.

Guccio powiada:

- Możemy sobie jeszcze poosekać - wielkie rzeszy?!

Ledwie wypowiedział te słowa - aż oto w naszej szybie, jak w lustrzanej powierzchni, coś się zarysowuje, coś się zbliża, znów oddala, znów zbliża...

Ukazuje się mama. Stoi prosto - nic z tego nie wiemy!

Chce podnieść ręce - by pokłosać ciemną głębię powietrza za sobą. Lecz nie podnosi - opuszcza...

Nie wiem, czy miała tam krzesło przy oknie, czy fotel - nagle - jakby ją coś lekko zdumknęło ku przodowi, ku ramie okiennej. Opiera się na niej -

pochyla głowę, przez jej malutką twarz przepływa uśmiech radości!

Przepłyną - wolnusięńko. Teraz - bardzo ostrożnie podnosi mama rękę do ust.

Czy taką rzecz można rzucić przez szybę?... - Podnosi do ust rękę i rzuca nam przez szybę pocałunek.

Guccio - dorosły człowiek - rozpłakał się. Potem, żeby mama "widziała wesołość", pogonił z nami do szkoły kłusem.

Tryumfował cały dzień.

Po południu rozstawiliśmy naszą fabrykę w salonie, wieczorem była długa, dobra kolacja, i chcieliśmy się zaraz pakować, by wrócić do nas, już do domu.

Guccio uznał, że na przeprowadzkę jest nieco za późno, ale za to zaproponował nam prawdziwe przedstawienie cyrkowe. Zostaliśmy boso, w kozulach i w majtkach, Guccio, jak kłowni, "nawdział" białą, frakową kamizelkę, rękawiczki i cylinder.

Robiliśmy "szalone" sztuki po wszystkich kątach i na wszystkich meblach. Sztuki tak wspaniałe, że aż się obraz ze ściany oberwał. - "Kozacy na zamczysku" - Krzesza.

Nadeszła babcia bardzo wzburzona. - Któż tak długo "wyrabia" takie brewerie?

- Zresztą - dodała - jeżeli dziś, po tylu nocach śpi nareszcie spokojnie wasza matka, to i wy za jej przykładem powinniście już spać!

Ledwośmy się ułożyli, ledwie światła pogaszono - odezwał się dzwonek, ktoś z ulicy wszedł do przedpokoju. Coś się tam działo, syczało - tłamsiło - byliśmy tak zmęczeni po naszym cyrku!

Zasnęliśmy wybornie.

Nikt nas rano nie obudził. Prócz starej Marianny, hałasującej w kuchni, nie było w mieszkaniu nikogo. Ani babki, ani Guccio, ani nawet ciotki.

- Ty - wykrzyknął Irzek w drzwiach salonu - nie ma nikogo!

- No, to co? - odpowiedziałem.

Marianna dała nam kawy, pobiegliśmy przed świętego Wojciecha, i tu rozświetliła się od razu ta rzecz straszna...

W oknie stanęła mama. Jakby wcale twarzy nie miała! Samo czoło - okropnie przerażone. Otworzyła oko wewnętrzne, przełamała się w szybach - otworzyła drugie na ocień - wyrzuciła ku nam ręce - w powietrze, - krzywiąc się do takiego płaczu - żeśmy się zasłonili i uciekali - i uciekali... Z myślą - że za nami wypadła przez okno, chociaż Irzek przysięgał się, że widział za mamą wujka Kazimierza, bladego "jak upiór".

Uciekaliśmy nie do szkoły - ale przez ulicę Karmelińską, do babki. Między koszarami i kościołem złapał nas Guccio. Zawsze taki ostrożny, zapięty elegancko, "gogus" - biegł w szeroko rozpiętym płaszczu.

Nie wiedział, co ma do nas mówić - on, Guccio - który zawsze wszystko wiedział! Spytał nas tylko, czyśmy jedli śniadanie. I dlaczego nie idziemy do szkoły?. Bo - babcia poszła zaraz rano - a teraz u swojej siostry czeka na mamę.

Gdyśmy wrócili, posadził nas sobie na kolana, zakrył nam oczy swymi dłońmi i dodał - że Tanczus już nie żyje.

- Stało się niespodziewanie - opowiadał Guccio. - Tanczus już spał. Już w gardle wszystko było jak

najlepiej... Gdy w nocy szedł się zawiązać do mamy, - że mi ciemno.

Mama nasza ocknęła się, objęła Tanczusia za szyję - za późno!

Nie rozpłakaliśmy się wcale. Guccio pogłaskał nas na dowód, że jesteśmy mężnymi spokojnymi chłopcami. Tego się zawsze po nas spodziewał. - Wierzył święcie - że nie zawiedzimy pokładanego w sobie - to znaczy w nas - zaufania.

Mama zawiedliśmy. Chodziliśmy po mieszkaniu wyprostowani, jak struny, z głowami do góry, z niezmużonymi powiekami. Żeby nie zawieść zaufania. Nieszczęście przytrafiło się dopiero po obiedzie, gdy z zegara baboinego jak odziewi, jak zawsze - ale o tym nie myśleliśmy dotychczas - wyleciała z godziną kukułka.

Rozpłakaliśmy się obaj z Irzkiem - wszystko się nam przypomniało, od początku - o Panieńskich Skałach - o bułankach - jak Tanczus ręce nasze zbierał stojąc w powozie, jak kukułka wtedy liczyła - wszystko do końca.

Chcieliśmy koniecznie wrócić do rodziców. Wuj Kazimierz, który przyszedł po południu, pocałował nas w czoło. Nie można było nawet myśleć jeszcze o powrocie. Trzeba będzie u nas w domu przedtem wszystko zdezynfekować. - Potem rodzice może gdzieś wyjadą?

- Na pogrzebie też nie będziecie. Wasza matka boi się o was i ma rację.

Widzieliśmy dotąd w życiu dwa prawdziwie piękne pogrzeby - więc, mimo wszystko, byliśmy ciekawi - jak teraz nasz wypadnie?

Pierwszy wspaniały pogrzeb - nie licząc Mickiewicza, Lenartowicza i Matejki - był syna jakiegoś generała, młodego oficera ułanów, księcia, który padł w pojedynku.

- Może w pojedynku, może z konia, nie was to nie powinno obchodzić - mówił wtedy ojciec. Czyż mógł się spodziewać?...

Waliko masę wojska, ułanów bez końca, potem truma w kwiatkach. Za trumną szedł ojciec tego oficera, bez cylindra, z siwą głową. I znów wojsko. Zazdrościliśmy poległemu oficerowi tak wspaniałej parady i tylu orkiestr.

Drugi pogrzeb - był naszego dyrektora, starego pana Nizioła. Szła wtedy cała nasza szkoła, wszyscy - widzieliśmy doskonale z okien. Przed katafalkiem szły, względnie były niesione, dwie aksamiłne poduszki z różnokolorowymi orderami, które - jak gdyby pan dyrektor dostał za to, że umarł.

Zazdrościliśmy także i wtedy.

Przy naszym pogrzebie było nam tylko bardzo smutno.

Szary zimowy dzień - konie zajęchały po Tanczusia białe, z niebieskimi czubami - baldachim biały i niebieski. Pochód zaraz ruszył. Truma jechała w wielu, wielu kwiatkach - najbardziej podobały się nam gwoździki - pewno od pana Karmańskiego - takie same, jakie zawsze nosił w klapie - tylko mnóstwo-oddzielny wieniec.

Guccio stał z nami przy gościńcu i pytał natarczywie, czy widzimy naszych rodziców.

Nie widziałem z początku. Wpadała mi w oczy tylko Filipina, pod ścianą, na schodkach sklepu z niemi, pana Zimlera. Mówiła coś do siebie, pewno modlitwy - ale Filipina modlitwy nawet umiała mie-

sząc z wymyślaniem.

Rodziców zobaczyłem trochę dalej, przy ulicy Siemnej. My z Guciem posuwaliśmy się wzdłuż szpaleru, oni szli zaraz za trumną.

- Widsisz ich narazicie - westchnął Guccio - zapamiętaj, są bardzo nieszczęśliwi.

Oś można było zapamiętać "z ojca"?! Nie. Z postawionego kołnierza podnosił mu wiatr włosy do góry i okwiał nimi na mrozie.

Mama szła w czarnej salopie i w swojej czapce bobrowej - nosiło się wtedy takie duże czapki. Przy ulicy Siemnej, na rogu, odwróciła się do nas. Wyglądało - jakby ją ktoś nagle strasznie mocno uderzył, a ona chce się nam o to pokarzyć. Jej zmierzowana twarz skuroczyła się, zacięła, zamknęła - po czym nagle wszystkie rysy otwarł niepowstrzymany płacz. Idący już nie wiadomo skąd, tak wielki, że dotychczas, - ile razy widzę jakiś kielich, urnę, że której przelewa się za brzegi, dziesięć, sto, tysiąc razy za brzegi, - wspominam te jej łzy.



Parę dni po pogrzebie odprowadziła nas do naszego domu babcia - własnoroźnie.

Otworzył - ojciec. Nas wpuścił, babce kiwnął na obie strony rękami - że nie.

Jedliśmy razem z rodzicami, ochodziliśmy znowu po całym mieszkaniu, pachnącym karbolem - i mimo że paliło się w piecach "normalnie" - marziliśmy na kość.

Nie było się czym bawić. Wszystkie zabawki dezynfekowały się jeszcze na strychu. Wieczorem, przed pójściem spać, powiedział Irzek, że naprawdę - Tancoz "był po środku naszego domu". - Teraz nigdy już nie na swoje miejsce nie wróci. I my też - powinniśmy umrzeć... .

Na szczęście wnet musiało się odmienić z powodu nieznacznego pozornie wypadku. W sobotę, jak zawsze, przyszły z poczty gazety medyczne.

Ojciec wziął je od Tomasza i poszedł do swego pokoju, gdzie, nie przyjmując teraz chorych, siedział sam od rana do wieczora. Z pokoju tego rozległ się nagle krzyk ojca.

Krzyk długi, równy, który nie przemięja, który unosi i trwa na tym samym miejscu - jak mur.

Poleciała mama, Filipina, Tomasz, nawet my - wszystkie drzwi całego mieszkania stały otworem, w ciemnościach. Ojciec szedł przed siebie, machał otwartą gazetą - jak się macha białym sztandarem na zawieszenie broni. Machał i krzyczał i mówił wszystkim meblom, kątom, po kolei we wszystkich pokojach, i po drodze wszystkim oknom.

- Nie mogę! Nie mogę! Nie mogę! W dwa tygodnie później - ludzie słyszącie?! W dwa tygodnie później!

Znacznie później objaśnił nam wuj Kazimierz, co to było. W dwa tygodnie po śmierci Tancozusia uczeni wynaleźli na świecie lekarstwo na dyfterię.

Po wypadku z gazetą rodzice zapakowali mały kuferek i odjechali.

Zostaliśmy "na łasce" Tomasza i Filipiny. Na dobrej łasce starych, zmęczonych sług.

Od nich nauczyłem się wtedy nie mniej, niż od rodziców. Nauczyłem się kochać prostych ludzi i jeżeli dziś żaden trud niski nie daje mi spokoju, a

przeciwnie, serce całe ma za sobą, jeżeli w starym łachmanie rozumiem wielką godność, w kruszonych przy drodze kamieniach zwycięstwo najtrudniejsze - zawdzięczać to muszę opowieściom Tomasza o "wyganym okpiwiciu" i srogim prawdom Filipiny o jej żajdaku-mężu.

Dni nasze szły po dawnemu między szkołą a domem. Wolny czas spędzaliśmy z Tomaszem lub Filipiną.

Prosiliśmy Tomasza, by siedział z nami w salonie. Skoro nie chce w salonie, przynajmniej w kancelarii ojca, gdzieby miał wygodny wyściełany fotel. Tomasz "nie oboiał pohać się na pokoje, za żadne skarby". Mówił, że zawsze znał na świecie swoje miejsce.

Całe popołudnia siedzieliśmy z nim w przedpokoju na ceratowej kanapie pod drukowanym Otellem. Teraz dopiero "wyszło na jaw", że Tomasz służył za młodu w artylerii fortecznej, nosił jeden czerwony lampas - gdy generałowi należy się "wszystkiego" dwa. Czy wobec tego każdy żołnierz artylerii fortecznej nie stanowi pół generała.

Teraz dopiero okazało się, że jak ojcu naszemu, gdy sobie maluje w kancelarii, przeszkadzają dzwonki chorych - tak samo przeszkadzają Tomaszowi, gdy nam opowiada o "błędnym" okpiwiciu, grającym na organach albo malującym przejścia Żydów przez morze - na czerwonej desce.

Aby "nie tracić czasu" przestaliśmy jeść w jadalni. O wiele lepiej smakowało nam "przy kuchni" na połupanych talerzach. O ile Tomasz zachwycał nas opowieściami, o tyle Filipina krzepiła, wymyślając na pańskie "wydziwiania", czyli na naszych rodziców.

- Każdemu się przytrafi taka śmierć, - mówiła niecierpliwie, - no i co? I nic - żyje - i musi swoje robić. Może nie?!

Pytaliśmy, jaka się Filipinie śmierć przytrafiła.

Jaka śmierć? Mąż sprzedał korale, ostatnie pierzyny pozostawiał, że się do nich nigdy nie wróciła, a dzieci, jak założyły jednego roku umierać, to ich poszło jednym ciągiem siedmiu - najstarszy odchowany już piętnastolatek.

Przejęliśmy się tą sprawą i choć Filipina była stara, pomarszczona, chcieliśmy ją pocałować w rękę. Nie zgodziła się, narobiła hałasu - ale od tej chwili coś się w nas przełamało.

Tego samego wieczora spytaliśmy się Tomasza, gdzie są, - co się dzieje właściwie z naszymi zabawkami.

Wyznał, że to wszystko "zenfekuje się" na strychu - i zakazano tego ruszać pod wszelką groźbą.

Sprawę zabawek wyjaśnił dopiero wuj Kazimierz - który leczył Tancozusia. Pewnego popołudnia przyszedł do nas z Guciem.

Dlaczego Guccio tak długo o nas nie pamięta?! Rzuciliśmy się mu na szyję - Tomasz powiedział - jak "wypuszczone z klatki".

Ścisaliśmy Guccia i całowali od razu tu, w kuchni. Nie zaponniał o nas, bynajmniej, ale odwoził naszych rodziców na wieś, do jeszcze innego wuja, dzielnego agronoma. Był tam trochę z nimi, wszystko widział, co się dzieje - rodzice przysyłają nam mnóstwo pozdrowień - Guccio dziwił się bardzo, że siedzimy w kuchni.

Z przybyciem naszych wujów staliśmy się na

nowo "paniozami". Irzek dał Filipinie i Tomaszowi mądry znak, - który znaczył, że odchodzić tylko z powodu wujów, - i poleciełszy zaraz do salonu.

Wuja Kazimierza już nie zastaliśmy. Szedł przez całe mieszkanie, zostawił za sobą otwarte drzwi - kazał podnosić stopy. W sypialni mamy zaczęła krzyczeć na Tomasza. Nazywał go starym niedołągą; Kinderspitalgasse - żołnierza artylerii fortecznej.

Za co?

Za portret Tanczusia, który był dotąd nieschowany. Zapakowali ten portret bardzo ostrożnie w papiery i w sznury, aby odwieźć.

Guoio usadowił się między nami, Filipina przyniosła herbatę, nie wiadomo skąd znalazły się świeże ciastka z cukierni naprzeciw - pewno z Sukienic. Guoio zaczął nam opowiadać, - o sobie dzieje. Nic się nie działo strasznego - choć wszystko razem było "jeszcze ciągle" bardzo smutne. Rodzice zostawili nas tu nie dla zabawy, oczywiście, czy też przez zapomnienie - ale ponieważ bardzo cierpią i nie chcą, byśmy na to patrzyli.

- To znaczy - spytałem - że co?

- To znaczy, że bardzo dużo - odpowiedział Guoio. - To znaczy, że wiesz co? że ojciec - tak, tak, ojciec twój, znany ceniony doktor tam na wsi - wysadza ścieżki kamieniami! Ze stodoły - do dworu. Z dworu aż przez ogród. Sam nosi cegły, czy kamienie, niby brukuje - bo nawet rozmawiać z nim nie można. Samo mówienie go boli.

- Czy musi brukować?

- Nie musi, ale nie może widocznie robić nic innego.

- Siedzi na gołej ziemi - przestraszyliśmy się z Irzkiem.

- Tak, na ziemi.

- Na błocie?

- A jak deszcz?

- I w deszcz?

- I w deszcz?

Na płacz się nam zbierało - gdy znowu wszedł wuj Kazimierz. Napił się herbaty, pogłaskał nas po głowach, ale nie uważnie, jakby tylko przypadkiem. Kazał sobie pokazać języki, po czym strzepnąwszy palcami, zawołał na Tomasza.

Aż się nam w piersiach otwarło ze zdziwienia. - Wuj Kazimierz zabrał ze sobą Tomasza, poszli na strych ze świecami w dwóch - wrócili we troje, z Filipiną, niosąc ogromne pudła naszych papierowych żołnierzy i wogóle wszystkie nasze zabawki.

Wstyd się nam zrobiło - i uciekliśmy się nadzwyczajnie.

Wuj Kazimierz obszedł jeszcze raz całe mieszkanie, teraz wszędzie już zamykał drzwi za sobą, powiedział do nas: "No więc chłopcy, bawcie się grzecznie, nie objadajcie się za dużo" - i poszedł.

Zabraliśmy się co prędzej do wielkich pudeł z wojskiem.

Mój Boże! Co się przez ten czas dezynfekcji i strychu stało z naszymi armiami?!

Najwięcej zaskodziły im na strychu myszy. Karbol zmienił gdzieś niegdzie barwy mmdurów, ale myszy! Wyżarły, wyżarły basybożukom bębny! Cała kawaleria Zajęczka była bez zadów, kosynierzy mieli pojedyncze krakuski!

Irzek twierdził, że - "tu nie ma co". Na nie 122

się nie zda szperanie po pudełkach. - trzeba zrobić jeden porządny przegląd - wtedy za jednym zamachem przekonamy się o wszystkim.

Drugiego dnia po południu robimy w salonie generalny przegląd. Podnoszą się, wstają z pudełek, niby z dalekiej drogi, maszerują przez dywan beraalierzy, Polacy, Francuzi, pokrzywiemi, pogięci, wszyscy pachnący karbolem, w mmdurach "oblasznych" - aż tu nagle dzwonek...

Tomasz czekał do przedpokoju, zerwaliśmy się z Irzkiem - kto?!

Rodzice...

Nigdy tego nie zapomnę! Weszli ukradkiem - jak my wchodzimy do domu, gdy w szkole było coś niedobrze. Nie w żadnej żałobie, ani w niezłym nowym - w jakichś starych odzieżach, których już całkiem nie pamiętaliśmy. Jakby w ciemnych, srogich mmdurach.

Mama zaczęła zaraz coś otwierać, zamykać - jak każda gospodyni. Ojciec wrócił po długiej chwili i widząc rozstawionych żołnierzy, spytał:

- No - coś wojsko?

Odpowiedzieliśmy niegłęboko - że nie - wojsko "doskonałe", tylko myszy mu trochę zaskodziły - nawet Bartosz Głowacki ma wyjedzoną rogatywkę.

- Któż wam wydał ze strychu to wojsko?

- Wuj Kazimierz.

Ojciec wstał, odszedł prędko i już tego wieczora woale do nas nie wrócił.

Zaczęły się długie dni, wieczory, chwile - przyjazd rodziców niczego nie polepszył. Możebyśmy nawet woleli być sami jak przedtem, z Tomaszem i z Filipiną.

Irzek miał słuszną rację, gdy mówił, że teraz w domu naszym nic nie wróci na swe miejsce. Nie umieliśmy już być "wazycy razem". Zdarzały się przy tym rzeczy, na które nikt nie mógł znaleźć żadnej rady, ani Filipina, z którą mama siadywała długo w kuchni na kufczy, ani baboia, ani nawet Guoio.

Rzeczy tych baliśmy się - jak ognia. Nazywaliśmy to - "przepadaniem" mamy.

Szukając kluczy, czy jakiegos listu starego, czy papieru - przepadała nagle w swoim pokoju na kilka długich godzin. Z początku nic się tam nie odbywało - zwykła cisza. - Potem szelest, coraz głośniejszy - potem jakby śpiew nieskładany, pomieszany z szumem - na przykład wstrząsanego drzewa.

Nie wiadomo, co robić. Stanąwszy blisko, słuchaliśmy - czekając, aż się mama wypłaczę. Między ten płacz wpadały słowa oderwane, zmyłone, pełne tak strasznej boleści - że od wtedy, dotąd, naumyślnie ich nie pamiętam. Wiem tylko, że były - a w pamięci ochowam je - jak się ma bliźny od niepamiętanych ran.

Słuchaliśmy. Prosimi - biliśmy w drzwi pięściami - płacząc, siedzieliśmy na podłodze pod tymi drzwiami - nadaremnie.

Ojciec - jakby nie słyszał - nie wiedział o tym - jakby się to wogóle niczego nie tyczyło.

Umówiliśmy się z Irzkiem, że będziemy pilnowali tego przepadania. Pilnowaliśmy - jak oienie.

Okazało się, że mama w sypialni wyciąga z komody ukradkime rzeczy "po Tanczusiu". Ubranie ćwiczebne z parku Jordana, biało-niebieską krakuskę, wszystkie pudełka żołnierzy, które dostał na ostatnie imię, małą, starą bieliznę.

Irzek postanowił nie pozwolić na to mamie.

Ja też.

Stanęliśmy przed drzwiami.

Mama chce nas odsunąć, aby wejść. Nie pozwalamy. Zrobiła się straszna... Ścisnęła wargi i z sykkiem wyszczerzyła zęby.

Irzek nadstawił pierś do uderzenia i płacząc krzyknął:

- Niech mama bije!

Zeskała, objęła nas przez pół, wysuwając z po-
bladłych ust głos oienki, słaby, znużony - jaki oza-
sem leci przez topole - już nie prawie.

Poszliśmy razem, i od tego dnia już tylko przy
nas oglądała te rzeczy. Niech kłęczy przed szuflada-
mi, niech płacze, niech głową uderza o kant - ale
przy nas.

Trwało tak kilka miesięcy. Z początku płakaliśmy
razem z nią. Potem siedzieliśmy oicho, obok, na ka-
napie.

Któregoś razu, nie wiem dlaczego - jakos "na
wazelki wypadek", czy też może niechocący, wziąłem z
sobą w kieszeni kilku naszych papierowych żołnierzy.
Jakich bądź - bez żadnego zamiaru - jeden był ko-
synier, jeden Moskal, Grek i dwóch Turków.

Mama kłęczała przy szufladzie, Irzek siedział
oicho na kanapie, a ja nagle bez żadnej myśli - za-
oząłem sobie oicho na krześle ustawiać - Turków,
Grekę, Moskala.

Irzek obraził się, powiedział, że jesten "ordy-
nus", ale na drugi raz też przyszedł z żołnierzami.
Potem znów, kiedyś później zapomnieliśmy ich wziąć.
Mama stała zamyślona przed ubrankiem Tanczusia -
zaraz obok, na podłodze, leżały pudełka z jego że-
laznymi użanami. Przypełniliśmy po oichu, odsunęliśmy
pod stół pudełko i oichutenieozko zaczęliśmy wysta-
wiać tych użanów z atłasowej ściółki na podłogę.

Byli śliczni - naturalnie nowi - ani jedna
krzta lakieru nie była jeszcze odłupana. "Kazaliśmy"
im jechać, najprzód gęsiego, potem w ówjkach -
nagle mama odwróciła się.

Krzyknęła i wybiogła.

Sohowaliśmy się w kącie. Wrócił - sam ojciec.
Usiadł na ziemi, wyciągnął rękę, - zapewne, żeby
pozbiierać tych użanów, - ale ręka mu się już dalej
nie ruszała...

Był to dziwny widok: - ojciec, siedzący w peł-
nym ubiorze na podłodze z tą nieruchomą ręką, na-
przeciw której wyjeżdżają spod stołu ówjkami uż-
ni.

Nie wiem, jak długo tak siedział. Powstał -
wyprowadził nas z kąta, pogłaskał pod brodę.

Powiedział bardzo łagodnie:

- Złóżmy te obłopoy. Mogę wam kupić innych żoł-
nierzy - ale tymi nie bawcie się. To przecież pa-
miątka...

Nie skończył. Chwycił nas w ramiona i rozpła-
kał się straszliwie - jak małe dziecko.

Nasz ojciec!...

Od tego czasu - powoli - powoli - wszystko za-
częło się wyjaśniać. Ciagle jeszcze nikt do nas
nie przychodził, prócz pana Karmańskiego - ale pan

Karmański był najlepszym przyjacielem ojca. Przy-
nosił ciagle nowe swoje proszki do farb - przez
siebie wykrocone, - które jako krajowe farby miał
wysłać na jakąś pierwszą "wystawę krajową" do Iwo-
wa.

Nie wiedzieliśmy, gdzie to będzie i kiedy -
ponieważ ojciec lubił mówić o tej wystawie, umie-
chaliśmy się na jej wspomnienie zawsze bardzo ży-
ozliwie.

Zaczęliśmy powoli wychodzić na spacer. Na Wa-
wel - albo nad Wisłę. Ojciec rozglądał się - jak
po nieznanym kraju. Trzeba przyznać, że oo obie-
cał - dotrzymał. Powiedział: - "Mogę wam kupić in-
nych żołnierzy" - i pewnego razu, ni z tego ni z
owego "przynieśli" nam ze sklepu dużo pudełek z
prawdziwymi żelaznymi żołnierzami.

Byli tam nawet użani, tacy sami jak "po Tanczu-
siu".

Zaczęliśmy ogromne przeglądy. Bitwy "wściekłe".
Defilady.

Ojciec siedział przy oknie, z pędzlami, opu-
szczonymi na kolana, a tymczasem pośród "widełek"
sztalugi - czyli w "trójkącie fortecznym" - mrowi-
ły się wojska nieprzeliczone. - Irzek gadał do
swoich - ja do swoich.

Ojciec nie pomagał nam jeszcze, jak dawniej,
nie "przymawiał", ale widoczne było, że już podzi-
wia. Patrzył i słuchał i patrzył, - bitwy odbywały
się teraz codziennie, - aż raz - właśnie kiedy
"użani dzielnie uciekali w najwścieklejszym rozpę-
dzie" przed Bułgarami - podniósł się, wyszedł z
domu i wrócił z paczką - oraz z przedziwną wiadomo-
ścią.

- Czym domem pojedziemy do Iwowa, na pierwszą
"wystawę krajową", kupiłem już bilety.

Paczka, - o paczce nie nie powiedział. Poszli-
śmy razem - nie miał nic przeciw temu. Rozwinął z
delikatnych bibułek bardzo piękny papier listowy,
orle pióro z obsadką, złoty piasek "do posypywania"
i przyoisk - żelazną lilię na marmurze.

- Cóż to znaczy? - spytała mama.

- Sam nie wiem dobrze. - Ojciec ruszył brwiami
i "zapatrzył" się w okno. - To dla ciebie. Na wpa-
dek - gdybyś chciała do kogo napisać?... Może poro-
zumić się? Może - nie wiem?

Ułożył wszystko na maminy biureczku, które do-
tąd stoi w moim domu - jakbym jeszcze dziś widział
na nim te przedmioty.

Co miał znaczyć ten wyjazd, zrozumiałem po wie-
lu, wielu latach, po wielu pracach, ciosach, wysił-
kach i zawodach, przypominając sobie ową drogę, po-
ciąg pełen ludzi, śpiewu i ojca na schodkach wagonu.

Nie ochoiż być w przedziale - w "żadnych ścia-
nach". Siedział "z zewnątrz", na stopniu, staliśmy
po bokach. Rozkładał ręce do znylonych widoków, do
niskich chałup, do płotów przydrożnych, drżących w
światle zachodu, i powtarzał:

- No wio, to my jesteśmy - to my - czy rozu-
miecie? To wszystko razem - te chałupy, drzewa, ko-
nie, studnie, lasy - i ci, których nie ma - to my...





ENDEL GDAŃSKI

Od wozoraj jakiś niepokój panuje w uliczce. Stary Mendel drwi się i oszczędniej, niż zwykle, nakłada krótką fajkę, patrząc w okno. Tych ludzi nie widział on tu jeszcze. Gdzie idą? Po co przystają z robotnikami, śpieszącymi do kopania fundamentów pod nowy dom niciarza Greulicha? Skąd się tu wzięły te obszarpane wyrostki? Dlaczego patrzą tak po sieniach? Skąd mają pieniądze, że idą w pięciu do szynku?

Stary Mendel kręci głowę, smokcząc mały, silnie wygięty wiśniowy cybussek. On zna tak dobrze tę uliczkę cicho. Jej fizyognomię, jej ruch, jej głosy, jej tętno. ...

Włosy Mendla są mocno siwe, a długa broda zupełnie siwa. Pierś zakłęsała pod pikowanym kaftanem często sadybuje się wprawdzie, a grzbiet szarbiowy nigdy jakos nie chce rozprostować, ale tam niema się co trapić, póki nogi i oczy staroza, póty i w ręku siła jest. Kiedy ma duszność dech zapiera, a w zgiętym grzbiecie ból jakiś krzyżo łamie, stary Mendel nakłada w małą fajeczkę tytoń z poczerzianego, swiężanego sznurkiem pucharza i kurząc ją, wypoczywa chwilę. Tytoń, którego używa, nie jest zbyt wyborny, ale daje taki piękny siny dymek i tak Mendlowi smakuje. Siny ten dymek ma i to jeszcze w sobie szczególne, że widąc w nim różne rzeczy oddalone i takie, które już dawno minęły.

Widąc w nim i Resię, żonę jego, z którą dobrze mu było na świecie przez trzydzieści lat, i synów, którzy się za chlebem rozbiegli, jak te liście wiohrem gnane, i dzieci synów tych, i smutki różne i pociechy, i troaki; a już najdłużej to w nim widąc jego najmłodszą dziewczynkę Liję, tak wczesnie wydaną i tak wczesnie zgasłą, po której mu tylko jeden wnak pozostał. Gdy stary Mendel rozpala swoją fajeczkę, jakieś ciche mruczenie dobiega się z ust jego. W miarę, jak pali i jak dymek siny przynosi mu dalekie obrazy i takie, które już nie wrócić, mruczenie to rośnie, potężnieje, staje się jękiem niemal. Ta dusza ludzka, dusza starego żyda, ma też smutki swoje i tęsknoty, które zagłusza pracą.

Tymczasem sąsiadka przynosi w jednej ręce garniozek z rosółem, w którym pływają kawałki rozmiękłej bułki, a w drugiej przykryty talerz z mięsem i jarzyną. Stary Mendel odbiera od niej ten skromny obiad; nie je go wszakże, tylko postawiwszy na małym żelaznym piecyku, czeka. Czekanie to trwa niedługo. O samej drugiej drzwi isdebki otwierają się głośnie, hałasiliwie, a w nich ukazują się mały gimnazysta; w długim, na wyrost sportarskim szynelu, w dużej szmuletej na tył głowy czapce, z tornistrem na plecach. Jest to chłopiec dziesięcioletni może, który po matce, najmłodszym

oóro Mendla, wziął piwo, o słocistych blaszkach ooczy, długie, ciemne rzęsy i drobne usta, a po dziadzi nos orli i wąskie wysokie czoło. Szosupły i mały, chłopak mniejszym się jeszcze i szosuplejszym wydaje, kiedy zruci szynel i zostanie tylko w szkolnej, szerokim pasem przepasanej bluzie. Stary Mendel jest w ciągłej o niego obawie. Przeczczysta cera chłopca, jego oszczędny kaszel, jego wątle piersi i pochylone barki, budzą w dziadzie nieustanną troskę. Wybiera też dla niego najlepsze kawałki mięsa, dolewa mu i dokłada na talerz, a kiedy chłopak się najje, klepie go po ramieniu i zachęca do zabawy z dziećmi w podwórku.

Malec rzadko kiedy namówi się pozwała. Jest smęcony lekojami, ciężkim szynelom, siedzeniem w szkole, drogą, dźwiganiem tornistra; ma też duże zadania na jutro. Powłóczy nogami chodząc, a nawet wtedy, kiedy się uśmiecha, piwne jego oczy patrzą z melancholią jakąś.

W kilka chwil po obiedzie malec zasiada przy prostym sosnowym stole, dobywając z tornistra książkę i zeszyty, a stary Mendel zabiera się do warsztatu. Choć chłopak cicho się sprawnia i, tylko szeptem półgłosnym powtarzając lekoje, kiedy niekiedy zaledwie stuknie stołkiem, na którym się buja, podparłszy na stole oba chude łokcie, znać przecie, że staremu introligatorowi przeszkadza oó w robocie. Co i raz odwraca on głowę, by spojrzeć na chłopca, a choć po kłajster ręką sięgnąć może, obchodzi się boku warsztatu, gdy ma go potrzeba, aby po drodze uszczypnąć wnika w licisko blade, przejrzyste, lub pogłaskać go po krótko przyklepych, miękkich i ciemnych, jak krocie futerko, włosach. Chłopiec przyzwyczajony jest widąc do tych pieszczot, nie przerywa przy nich bowiem ani swego żarliwego szeptu, ani kołysania się na stołku. Stary introligator wszakże zupełnie i tym jest zadowolony, a przyoiszając klapanie pantofli, powraca na palcach od swego warsztatu.

W piątek przed wieczorem scena się odmieńa; malec uczy się przy oknie, kołysząc się mozolnie na stołku, nie mającym tu swojego rozpędu, a na sosnowym, pokrytym serwetą stole sąsiadka stawia rybę, makaron i tylko co przyniesioną od piekarza tłustą, pięknie zrumienioną kaczkę. Cynowy, o dziwnie powykęcanych ramionach świecznik z galkami oświeca isbę uroczyście, światłocennie.

Stary Mendel ma na sobie wytarty już nieco, ale jeszcze piękny, żupan osarany, przepasany szerokim pasem, za który z lubością zakłada spracowane ręce. Siwe jego włosy pokrywa jarmulka, a akrsyp nowych z długimi cholewami butów, napełniona isbę jakimś radosnym szmarem. Gdy już stół zastawiony został, chłopak się myje, przyczesuje swoje krocie futerko na drobnej, podługnej giewinie, zapina

świeży kołnierzyk i czyste mankiety, a założywszy ręce w tył, stoi poważny i wyprostowany, podczas kiedy dziad sięga na policę po zwinięty talerz i po modlitewnik.

W chwilę potem rozlega się wargowy, brzęczący śpiew modlitewny starego żyda; głos jego przechodzi wszystkie spadki od niskich, śpiewem brzmiających, do wysokich, na których śpiew jego przechodzi w jęk i w żarliwy jakiś lament, w akcenty namiętne, błagalne, łkające. Pod wpływem śpiewu tego mały gimnazysta odczuwa dreszcz nerwowy, blada jego twarzyczka staje się bledszą jeszcze, wielkie oczy to rozszerzają się nad miarę, to mrużą się i schodzą łzami; patrzy na dziada jakby urzeczony, a spazmatyczne ziewanie otwiera mu usta. Na szczęście, dziad zamyka wkrótce modlitewnik i błogosławieństwem rozpoczyna szabasową ucztę.

Zdarzyło się raz latem, że chłopaki od Kołodziejckiego ślusarza i od szewca Pocięski zebrali się przed otwartym oknem starego introligatora, a zaglądając przez nie do oświetlonej szabasową światłem isby, robili sobie z tej modlitwy śmieszki i głupią uciechę.

W tej chwili wszakże przechodził tamtędy stary proboszcz, a spojrzawszy przelotnie w okno i widząc modlącego się żyda, który z takim jękiem wołał po swojemu do Boga, uchylił kapelusza. Scena była niema, ale nad wyraz wymowna. Chłopaki zamknęły, jakby ich wiatr zdmuchnął i nie było odtąd wypadku, aby spokój tej ubogiej isby zamieszany został.

Przedwczoraj dopiero...

Właściwie i przedwczoraj nie stało się nic. Tylko małe powrócił ze szkoły bez czapki, zdyszany, jak zając zgoniony. Zrazu nie mówić nie chciał; dopiero po długich badaniach wysnął, że jakiś obdar-tus krzyknął na niego "żyd!... żyd!..." więc on uciekał i czapkę zgubił i nie śmiał wracać po nią.

Fala gniewu uderzyła starym Mendlowi do twarzy. Wyprostował się, jakby urósł nagle, splunął, a potem ohłopaka twardo za ramię ująwszy, do stołu pohnął i obiad w milczeniu spożył.

Po obiedzie nie wrócił do warsztatu i fajki nie nakładał, tylko sapiąc, po isbie chodził. Ma- lec także do lekcji się nie brał, ale patrzył na dziadka zaleknionym wzrokiem. Nigdy go jeszcze tak gniewnym nie widział.

- Słuchaj ty! - przemówił wreszcie, stając przed chłopcem, Mendel. - Jak ja ciebie małego się-rotę wziął, i chował, i za niańkę także był, i piastował ciebie, mu, to nie na to ja ciebie chował i nie na to ciebie piastował, coby ty głupi był! A ty ze wszystkim głupi rośniesz, i niema u ciebie żadnej mądrości! Jakby u ciebie mądrość była, toby ty tego nie wstydzisz się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie "żyd" krzyknie. A jak ty tego płaczesz, jak ty uciekasz i jeszcze taką piękną nową czapkę gubisz, co pięć złotych bez sześciu groszy kosztuje gotówką, pieniądźmi, mu, to ty ze wszystkim głupi jesteś, a te szkoły, te książki, te nauki, to wszystko na nic!

Odsapnął i znów mówić zaczął:

- Nu, co to jest żyd? Nu, jaki ty żyd? - mówił już łagodniejszym głosem. Ty się w to miasto urodził, coś ty nie obcy, coś swój, tutejszy, to

ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzisz nie masz, żeś żyd. Jak ty się wstydzisz, żeś ty żyd, jak ty się sam za podłego masz, dlatego żeś żyd, mu, to jak ty możesz jakie dobro zrobić dla to miasto, gdzie ty się urodził, jak ty jego kochać możesz? ... Nu?...

Zachłysnął się i znów przed chłopakiem stanął. Tym razem jednak patrzył na jego zaleknioną twarzyczkę z jakimś rozrzwieniem. Położył mu na głowie rękę i rzekł z naciskiem:

- Uczciwym żydem być jest piękna rzecz! To pamiętaj sobie! A teraz się ucz, żeby ty głupim nie był, a czapkę to ja tobie inną kupię, to ty nie potrzebujesz płakać, bo to głupstwo jest!

Małeć potalował w rękę dziada i wziął się do książek. Stary introligator bardziej jednak był poruszony tą sprawą, niż to chciał dziecku okazać. Długo bowiem po izbie chodził, nie kończąc pilnej, zaczętej roboty, i spluwając po kątach, jakby się goryczył jaką nakarmił. Nie przetrwał on tej goryczy w sobie i przez noc widocznie, gdyż bardziej zgarbiony i postarzały, niż zwykle, nazajutrz wstał; kiedy chłopiec, podpiwszy ramię torni-stra, do szkoły ruszył, stary poszedł do okna i patrzył za nim niespokojnie, długo.

Niepokój ten nie opuszczał go i przy pracy nawet. Częściej niż zwykle, pod wpływem jakiegoś rozdrażnienia, nakładał krótką fajeczkę i podchodził do okna i patrzył podejrzliwie w tak dobrze, w tak dawno znaną sobie uliczkę. Pod wpływem też tego rozdrażnienia zapewne, ruch jej, jej głosy, jej tętno, inne mu się jakieś, niż zwykle, wydały.

Gdy jednak małeć powrócił ze szkoły wesół, bo piątkę dostał, rozbawiony nową czapką, która mu na oczy wjeżdżała, stary o swoich przywidzeniach zapomniał i czy to sam dla siebie, czy dla uciechy dziecka, gwizdał przy robocie, jak za młodych czasów!

Po obiedzie wpadł po akty dependent, pachnący piżmem.

- Co słychać? - spytał.

- Wszystko dobrze, broń Boże od złego! - odrzekł Mendel Gdański.

- Podobno żydów mają bić?... - rzucił pachnący dependent z głupkowatym uśmiechem.

- Nu, jak bić, to bić! - odrzekł Mendel, pokrywając wrażenie, jakie na nim te słowa wywarły. A kto ich ma bić? Urząd?...

- I... Urządby tam - rozśmiał się mały dependent.

- Nu, jak nie urząd, to i ohwała Bogu! - rzekł Mendel.

Rozśmiali się obaj. Młody dependent głupkowiato, żyd z przymusem widocznym.

Zły był, że ta rozmowa toczyła się przy dziecku. Spojrzył na chłopca spod brwi nasuniętych. Małeć wlepił w dependenta wielkie swoje oczy i dopiero, kiedy ten za progiem był, spuścił je na karty książki, podświetlane, palające. Stary Mendel, jakby nie widział tego, zaczął znów gwizdać. Ale gwizdanie to miało coś w sobie ze świstu przytłoczonej wielkim ciężarem piersi, mta przyochlała, głuchła, zasypiała, aż urwała się zgrzytem ozy jękiem.

Zmierzało już w izbę, kiedy przez niskie

drzwi wcisnął się gruby zegarmistrz w popielatym haweloku, jakiego stale używał w tej porze.

- Słyszales pan nowinę? - zapytał, siadając na brzegu stołu, przy którym uczył się malec.

- Nu - odparł Mendel - co mnie po nowinów? Jak ona będzie dobra, to ona i wtedy będzie dobra, kiedy ona nie będzie nowina, a jak zła, nu, to na co ja ją słuchać mam?

- Podobno żydów mają bić - rzekł tłusty zegarmistrz, kiwając nogą w wyciętym trzewiku z błyszczącą stalową sprzączką.

Stary Mendel zamrugał kilka razy nerwowo, koło ust przebiegło mu nagłe drgnięcie. Wnet opamiętał się jednak, i przybrawszy ton jowialnej dobroduszości, rzekł:

- Żydów? Jakich żydów? Jeśli tych, co uni złodzieje są, co uni ludzi krzywdzą, co uni po drogach rozbójstwo robią, co uni z tego biednego skórną ciągną, nu, to czemu nie? Ja sam pójdę ich bić!

- Ale nie! - rozśmiał się zegarmistrz. - Wszystkich żydów...

W słychy żrenicach Mendla zapalili się błysk nagły. Przygasił go jednak wół spuszczoną powieką i niby obojętnie zapytał:

- Nu, za co oni mają wszystkich żydów bić?

- A za oćby? odrzucił swobodnie zegarmistrz - Za to, że żydy! ...

Nazajutrz rano uliczka obudziła się oicha, jak zwykle, i jak zwykle spokojna. Gdański od wczesnego ranka stał w skórzanym fartuchu przy swoim warsztacie. Wielkie jego nożyce zgrzytały po papierze zapalczywie, twardo, śruba prasy piszozala dociskała do ostatniego kręga, nóż wąski, długi, błyskał pod ranne słonce zużytą swą klingą, skrawki papieru padały z szelestem na prawą i na lewą stronę. Stary introligator pracował gorączkowo, żarliwie; na jego zwiędłej, głęboko zbrudzonej twarzy znać było noc niespaną. Gdy przecież wypił lichą kawę, którą mu sąsiadka w dużym fajansowym imbryku przyniosła, raźniej mu się jakoś na sercu zrobiło, nałożył krótką fajeczkę, zapalili i poszedł budzić wnuka.

Chłopak ; spał dziś jakoś. Długo w noc na posłaniu rzucał się, jak ryba, a teraz spał snem głębokim, cichym. Cienki promień słonca, wpadający do alkowy przez otwór pensowej firanki, kładł mu się na oczach, na ustach, na wątlých, odkrytych piersiach; to znów w ciemnych miękkich włosach i w długich spuszczonej rzesach zapalał złoto-brunatne, migotliwe płomyki.

Stary patrzył się z lubością na dziecko. Czoło jego wyglądało się, usta rozszerzały, oczy mrużyły i nabierały blasku. Rozśmiał się wreszcie szosęśliwym cichym śmiechem, a woliagnawszy wielki kłęb dymu z fajeczki, pochylił się i puścił go pod sam nos chłopaka. Malec się zakrztusił, zerwał, szeroko otwarł złote swoje oczy i zaczął je trzeć złożonymi w dwie chude piastki rękami. Spieszył się teraz niezmiernie, był zafrasowany; jedno z zadań zostało niedokończone, książki, kajety niepokładane leżały dotychczas na stole. Już i kawy nie dopił i bułki na pauzę, przełożonej dwoma plasterkami zimnego jajka na twardo, nie chciał wziąć,

tylko w tornister książki rzucał, niepewny, czy się nie spóźni. Kiedy wszakże, szynel na ramiona wzięwszy, do drzwi zmierzał, drzwi otwarły się gwałtownie, a chudy student z facjatki pchnął go napowrót do izby:

- Uciekaj, bo żydów biją!

Rozdrażniony był widocznie bardzo. Jego ospowata, długa twarz zdawała się jeżosze dłuższą i jeszcze bardziej spustoszoną; krok, jaki z sieni do izby zrobił, oddalił cienkie jego nogi na niezmierną odległość od siebie, małe bure oczy sypały iskry gniewu. Wylękły malec klębkciem potoczył się aż ku stołowi, upuszczając szynel i tornister...

Stary osłupiał. Ale wnet oprzytomniawszy, ogniami z twarzy buchnął: jak żbik do studenta skoczył...

- Co to uciekaj?... Gdzie un ma uciekać? ... Na co un ma uciekać?... Czy un tu ukradł co komu, coby un uciekać miał?... Czy un tu w cudzej stancji siedzi?... W cudzy dom... Un tu w swojej stancji siedzi! w swój dom! Un tu nikomu nic nie ukradł! Un do szkoły idzie! Un nie będzie uciekał! Przyskakiwał do stojącego we drzwiach studenta, akurozony, zebrany w sobie, syczący, parsakający i trzęsący brodą.

- Jak tam pan chcesz! - rzucił szorstko student - Ja powiedziałem...

I zabierał się do wycofania z izby swej niezmiernie długiej nogi. Stary introligator uchwycił go za poję wytartego paltota.

- Jak ja choć?... Nu, co to jest za gadanie, jak ja choć! Ja choć, coby ja spokój miał. Ja choć spokojnie zjeść mój kawalek chleb, co ja na niego pracuję! Nu ja choć wychować te sierotę, ten chłopiec, coby z to dziecko człowiek był, coby nikt na niego nie pluł, kiedy un nic wimy nie jest!... Nu, ja choć coby nie było ani mojej, ani nieczyjej krzywdy, coby sprawiedliwość, coby się ludzie Boga bali! ... Nu, ja tego choć! A uciekać to ja nie choć! Ja w to miasto się urodziłem, w ten dom dzieci miał, ja tu nikogo nie skrzywdziłem, ja tu wareszt mam...

Nie skończył, kiedy od salamu uliczki ozwała się głucha wrzawa, jakby z daleka gdzieś przeciągającej burzy. Po twarzy studenta przeleciał kuroz nagły, wół głośnie kłątwa wypadła mu przez ściśnięte zęby.

Stary introligator umilkł, wyprostował się i wyciągnawszy chudą szyję, nadsłuchiwał chwilę. Wrzawa zbliżała się szybko. Słychać już było gwisł przeciągły, śmiechy, wołania, wybuchy krzyków i płaczu lament. Uliczka zawrzała. Zamykano bramy, tarasowano sklepy, jedni biegli wprost na wrzawę, drudzy uciekali od niej.

Nagle malec wystraszony rozszlochał się głośnie. Student z naciskiem drzwi zamknął i zniknął w pustej sieni.

Stary żyd słuchał. Ani szlochania dziecka, ani wyjścia studenta zdawał się nie spostrzegać. Wzrok miał jak gdyby cofnięty w siebie, dolną wargę obwisłą, ucho nastawione. Mimo skórzanego fartucha, widać było drżenie jego starych kolan; twarz z czerwonej stała się brunatną, z brunatnej żółtą, z żółtej kredowo-białą. Wyglądał jak człowiek trafiony postrzałem. Chwilka jeszcze, a to stare, osłabłe ciało złamie się i runie.

Coraz bliższa, coraz wyraźniejsza wrzawa wpadła nareszcie w opustoszałą uliczkę z ogromnym wybuchem krzyku, świstania, śmiechów, klątw, złorzeczeń. Ochryple pijackie głosy zlewały się w jedno z szatańskim piaskiem niedorośtków. Powietrze zdawało się pijane tym wrzaskiem motłochu; jakaś zwierzęca swawola obejmowała uliczkę, tłoczyła ją, przewalała się po niej dziko, głuszając. Trzask łamanych okiennic, loskot toczących się beczek, brzęk rozbijanego szkła, łomot kamieni, zgrzyt drągów żelaznych, zdawały się, jak żywe, brać udział w tej ohydnej scenie. Jak płatki gęsto padającego śniegu, wylatało i opadało pierze z porozrywanych poduszek i betów. Już tylko kilka lichych kramów dzieliło izbę Mendla od rozpasanej ciżby. Malec przestał szlochać i trząsać się cały jak w febrze, przysiadł się do dziada. Jego wielkie, ciemne oczy pociemniały jeszcze i świeciły pomuro z pobludłej twarzyczki. Dziwna rzecz! To przytulenie się dziecka i to bliskie już niebezpieczeństwo, skrzepiły starego żyda. Położył rękę na głowie wnuka, tohu w piersi nabrał szerokim oddechem, a choć twarz miał jeszcze jak oplutek białą, do żrenic już przywołał i ogień i życie.

- Sz... - szepnął uspokajająco.

Teraz dopiero uciszał płacz, który już sam umilkł, zduszony wielkim strachem. Teraz dopiero to przedchwilowe szlochanie dziecka dochodziło do jego świadomości.

W tej chwili do długiej wąskiej sionki wpadło kilka kobiet: powroźniczka z dzieckiem na ręku, stróżka, straganiarka.

- Dalej, Mendlu! - krzyknęła od progu stróżka - zjeżdża im z oczów! Ja tu duchem w oknie obrazik postawię, albo krzyżik. Już ta po innych izbach stol... To tam nie idą!...

Ohwyliła malca za rękę.

- Dalej, Kubuś! do alkowy! ...

Obstąpiły ich, zaslaniały sobą, pchały ku ponsowej firance. Znały tego żyda tak dawno, był uslužnym, dobrym człowiekiem. Za kobietami zaczęli się wsuwać inni mieszkańcy małej kamieniczki. Izba zapełniała się ludźmi.

Stary Mendel jedną rękę oparł ciężko na ramieniu chłopca, a drugą odsunął kobiety. Oprzytomniał już zupełnie przez tę jedną chwilę.

- Dajta spokój, Janowa! - mówił twardym, brzdącym jak dzwon głosem. - Dajta spokój! Ja wam dziękuję, bo wy mnie swoją świętość chcieli dać, mnie ratować, ale ja do moje okno krzyż nie chcę stawić! Ja się nie chcę wstydzić, co ja żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu, to uny i na ten krzyż nie będą pytali, ani na ten obraz... Nu, to uny i nie ludzie są. To uny całkiem dzikie bestie są.

A jak wy są ludzie, jak uny są chrześcijany, nu, to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne, też jak świętość będzie.

- Pójdź, Kubuś...

I pociągnąwszy za sobą chłopca, mimo hałaśliwych protestów zebranych, do okna podszedł, oba jego skrzydła pohnięciem ręki otworzył i stanął w nim w rozpiętym kaftanie, w skórzanym fartuchu, z trzęsącą się brodą białą, z głową wysoko wzniesio-

ną, tuląc do swego boku małego gimnazystę w szkolnej bluzie, którego wielkie oczy otwierały się coraz szerzej, utkwione w wyjący motłoch.

Widok był tak przejmujący, że kobiety szlochać zaczęły.

Spostrzegła stojącego w oknie żyda uliczny zgraja, i omijając pozostałe kramy, rzuciła się ku niemu.

Tę heroiczną odwagę starca, to nieme odwołania się do uoźuć ludzkich tłumy, wzięto za zniewagę, za urągawisko. Tu już nie szukano, czy jest do wytobżenia jaka beczka pełna octu, okowity, jaka paka towarów do rozbicia, jaka pierzyna do rozdarcia, jaki koss do atłuczenia. Tu wybuchła ta dzika żądza pastwienia się, ten instykt okrucieństwa, który przyczajony w jednostce, jak pożar opanowuje zbiorowisko, ciżbę...

Jeszcze nie dobiegli pod okno, kiedy kamień rzucony z pośrodku tłumu, trafił w głowę chłopca. Malec krzyknął, kobiety rzuciły się ku niemu. Żyd puścił ramię dziecka, nie obejrzał się nawet, ale pośniósłszy obie ręce wysoko, ponad wyjący motłoch wzrok utkwil i szeptał szbielałymi ustami:

- Adonai! Adonai!... - a wielkie lzy toczyły się po jego zbrudzonej twarzy.

W tej chwili był to prawdziwy "Gaon", co znaczy: wysoki, wzniosły.

Kiedy pierwsi z tłumu pod okno dopadli, znaleźli tam wszakże niespodziewaną przeszkodę w postaci chudego studenta z facjatki.

Z wzburzoną czupryną, w rozpiętym midurze, stał on pod oknem żyda, rozkrzyżował ręce, zacisnąwszy pięście i rozstawiwszy nogi, jak otwarty cyrkiel. Był tak wysoki, że zaslaniał sobą okno niemal w połowie. Gniew, wstyd, wzgarda, litość, wstrząsały jego odkrytą piersią i płomieniami szły po jego czarnej, ospowatej twarzy...

- Wara mi od tego żyda! - warknął jak brytan na pierwszych, którzy nadbiegli. - A nie, to wal we mnie jeden z drugim, gałgany! psubraty! hulta-je!

Trząsał się aż cały, i nawet pełnego głosu dobyć nie mógł, tak go gniew dławil. Z małych jego barych oczu iskry sypały się zdawały.

Był w tej chwili pięknym, jak Apollo...

Kilku trzeźwiejszych z bandy zaczęło się cofać. Postać młodzieńca i jego słowa uderzyły ich swą siłą. Skorzystał z tego długi student, a skoczywszy przez niskie okno do izby, odepchnął żyda, a sam w oknie stanął. Tłum przeciągnął mimo tego okna z głuchą wrzawą. Szyderstwa, pogroźki, wrzaski, złorzeczenia, towarzyszyły pochodowi temu; poczem wrzawa oddalała się, cichła, aż przeszła w huk niewyraźny, daleki.

.....
Tego wieczora nikt się przy sosnowym stole nie uożył, i nikt przy warsztacie nie pracował. Zza ponsowej firanki, z alkowy, dobywał się niekiedy cichy jęk dziecka; zresztą spokój panował tu zupełnie, gdyby nie rozbita szyba w okienku, gdyby nie porzucony na podłodze szynel i tornister uczniowski, nie znać byłoby tej burzy, która tu przeszła rankiem.

W alkowie, za ponsową firanką, leżał mały gimnazysta z obwiązaną głową. Zielona lampka paliła

się przy nim, chudy student siedział na brzegu łóżka, trzymając rękę malca.

Twarz studenta była już tą samą, co zwykle, dziobatą, brzydą twarzą; w oczach tylko paliły się niedogasłe ognie, z dna duszy ruszone. Siedział milczący, namarszczony, gniewny, i od czasu do czasu rzucał niecierpliwe spojrzenie w ciemny kąt alkowy. W kącie tym siedział stary Mendel Gdański, bez ruchu, bez głosu. Skulony, z łokciami wspartymi o kolana, z twarzą ukrytą w rękach, siedział on tak już od południa, od chwili, w której dowiedział się, że chłopcu niebezpieczeństwo nie grozi.

Ta nieruchomość i to milczenie starego intro- ligatora niecierpliwiły studenta.

- Panie Mendel! - burknął wreszcie - wyleźże pan już raz z tego kąta! Bosiny pan odprawiasz, czy co u licha? Trochę gorączki i nic więcej. Chłopak za tydzień jaki do szkoły pójdzie, byle się trochę tylko skóra zrosła. A pan tak na marze za-

siadł jakby co panu umarło.

Stary żyd milczał.

Po chwili dopiero podniósł głowę i odezwał się głosem namiętnie drgającym:

- Pan się pyta, czy ja na bosiny siedzę? Nu, ja siedzę na bosiny! Ja popiół na głowę mam, i wór gruby na głowie mam, i na popiele ja siedzę, i nogi bosa mam, i pokutę wielką mam, i wielką boleść mam, i wielką gorzkość...

Zamilkł i twarz znowu w ręce ukrył. Mała zielona lampka dawała jego siwej głowie jakieś szczególne widmowe niemal oświetlenie. Malec jęknął raz i drugi i znów zaległo milczenie.

A wtedy wśród tej ciszy podniósł Mendel Gdański raz jeszcze głowę i rzekł:

- Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czym ja się urodził, z czym ja sześćdziesiąt i siedem lat żył, z czym ja umierać myślał... Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!



Kazimierz Przerwa-Tetmajer

O LUDZKIEJ BIEDZIE

Nie bójże się, hłopce, nie bójże się biedy,
jak cie bieda suko, to cie znajdzie wsendy!...

śpiewał sobie żałośliwym głosem Marcin Midroń Postrachany, a w takt przykiwowały mu się pomierz- wione, jakby powstające ze strachu do góry włosy i wyłupione, szeroko rozwarłe, jakby w wiecznym przerażeniu, bładniebieskie oczy. W takt też ki- wała się sucha, kanciasta, wybladła, podłużna twarz, niebываłej chudości, na cienkiej szyi, w takt kiwało się szczupłe, nagle, kościane z chudo- ści ciało, ruchliwe i sprężliwe. A kiedy tata tak śpiewał, w takt przyspiewywały mu dzieci, mała trzyletnia Zosia i mały czteroletni Jaś:

Nie bójże się, hłopce, nie bójże się biedy,
jak cie bieda suko, to cie znajdzie wsendy!...

piskliwymi, smutnymi, dziecinnymi głosikami. A wtedy w Marcinie Midroniu ścisnęło się, krwawiło i płakało serce.

Marcin Midroń był tak strasznie biedny, że nie tylko w całej wsi, ale w całej okolicy biedniejszego chłopca nie było. A jeszcze mu i baba dzieci nieletnie odumarła.

Marcin Midroń chodził koło ścian jak błędny. Chwytał się każdej roboty, byle dzieci wyżywić, jako tako wyżywić, przecie jak w zimie ogrzać.

A on sam nie pamiętał takiego dnia, kiedy syty był.

Nie pamiętał takiego dnia odkąd siebie pamię- tał. U rodziców, ba, u dziadków, była taka sama bieda, jak u niego.

"Z takiego my jest przeklętego pokolenia" - myślał Marcin Midroń.

A raz w jesieni, kiedy wicher przez dziury w stancjce Midroniowej świstał, w Marcinie Postra- chanym zadrgało serce.

Wójt, Mikołaj Cisek, zwołał chłopów na radę; przyszedł Midroń i pokornie stanął poza plecami wszystkich. A było to przed chałupą wójtową, na łączce, po południu w niedzielę.

Wójt, w czarnej bogatej osusze, w nowym kape- luszu z drobnymi kostkami, z ogromną mosiężną spinką z łańcuszkami u koszuli i w pasie na cztery kłamy pod samą pachy, popatrzył dookoła siebie, chrząknął i tak się ozwał:

-Moji ludkowie! Zawołalek was haw, bo mam wam cosi pedzieć. Jantoni Rymac przed śmierzciom okfia- rował krowe, cielnom, piekno, łaciatom, wto urobi Świentego Jantoniego, coby go postawił napośród wsi, haw na brzysku, nirył Maciulaska przy Pietro- wi przy Pawłoskim. To miejsce się nieboscykowi no- lepsi udawało, a mnie, niby wójta, haczekutore swojej wole obrał.. Kie haw Świenty Jantoni stanie, prziwiezie się ksiendza z miasta, co go poświeńci

i będzie. Nieboscyk Jantoni Paćkora, mam pedzieć Rymac, ekflarował na ten figure Świentego Jantoniego zdatnom jedle we swoim lesie. Juz je nacyhowano. Ten jedle sie zetnie, okrzese i prziwiezie, a jest tu haw wtory pomiedzny wam! coby Świentego wyrzezać zdołał?

Nie odpowiedział nikt. Któżby się był na taką rzecz porywał? Widywali ludzkie figury w kościele w Nowym Targu, na odpuszcie tu i tam, jak gdzie który poszedł, ale jedno rzađko, bo do kościoła bardzo daleko ze őród lasów mieli, drugie patrzył ta chłop i patrzył, ale jak ta tego Świentego, czy tę Świntę, a choćby Pana Jezusa i Matkę Boską zrobili, to ani myślał. Była figura - dość.

Milczą tedy wszyscy.

- No, - odzywa się wójt po chwili, - nie masz haw zednego, coby sie na to podjon?

Nie odpowiedział nikt.

- Krowa - rzekł wójt - piękna i cielna. A jo som przirucem ku temu dwa korca grul.

Wójt, Mikołaj Cisek, był bardzo bogaty.

- Jo dom barana - oszał sie jego brat, Jakob Cisek, również bogacz.

- A jo przycyniem korzec owsa! - zawołał Michał Klamkos.

- Jo półkorca jarou! - krzyknął Jan Niewiara.

- Jo drugie pół - Kuba Krzysiak.

- Jo prosie - Michał Malinowski.

- A jo őruke płótna, bo wiem, ze go ta baba mo!

- Jo dom őrybelnego talara! - zawołał Jasiak Pawlik.

- Je dy to nie ty, jino ten, coś mi wzion - zadowoipkował któryś, bo Pawlik był znany złodziej.

Zasmiali się chłopci i mimowoli wszyscy spojrzeli ku staremu Jóskowi Harbutowi, o przydomku Młot, najbogatszemu chłopcu na okrąg dziesięciu wsi, który nie tylko na wielkim obszarze pola siedział, dwiesto owiec i pięćdziesiąt sztuk hrubego statku chował, ale z pradziada, dziada, ojca i z własnej młodości ze zboźectwa miał mieć beczkę złota w piwnicy, a który, jak wiadano, to i owo z duszy spłukać pragnął, a przytem pyszny był.

Patrzali na niego chłopci, na koniec spytał Klamkos:

- A wy, Harbut?

- A jo, - odpowiedział Harbut, wężąc powoli głos w namyśle, aby nie ohybić efektu, ale przejść wszelkie oczekiwanie, a przy tym ofiarę godną siebie Panu Bogu złożyć, - jo dom dziesięć madziarskich dukatuk.

Wszyscy oszupieli. Cięża zapanowała zupełna.

- No, kto sie ouje przy siele? - zapytał wójt.

Jednak nikt nie odpowiadał, nikt się nie czuł przy sile, aż nagle spoza pleców wszystkich, drżącym, jaskrawo rozpaczającą wypchniętym z gardła głosem krzyknął Marcin Mudroń:

- Jo!

- Wto? Wto?

- Mudroń. Marcin Mudroń! Postrohany! - odpowiedziano.

- Mudroń? Marcin? - zapytał wójt zdziwiony.

- Jo - odpowiedział Mudroń.

- A zdoles ty?

Mudroniowi nie dwojono, na to był za biedny.

- O! Cozby nie zdołał? - krzknął Pawlik, które-

mu Mudronia żal było, że w takiej nędzy żyje, choć go miał za głupca, bo go kilkakrotnie na złodziejstwo na próżno namawiał. - Cozby nie zdołał? Zdoło!

- Zdoło! zdoło! - dezwali się ci i owi - Dej Mudroń syćko robuje! Za kowala, za budarza, za druciarza! Zrobił!

- No iści, wto mo zarobić, to nolepsi, ooby Mudroń zarobieł - rzekł Klamkos.

- O haj - odparł Jakob Cisek.

- A wy, Harbut, jako padacie?

- Je oozbyk miał padać? Niek urobi, wto fee.

Mnie jedność. Temu cy drugiemu dam. Jak Mudroń sprawi, to jego.

- No to wies - powiada mu wójt - jutro jedle zetnieme. A kaz wolis robić? U mnie cy przy swojej hałupie?

- O hań, przy hałupie, przy dzieciak - odpowiedział Mudroń.

Chłopi byli radzi. Najpierw radzi byli, że najbiedniejszy i to jeszcze taki strasecny biedak się wspomozę, po wtóre, że taki, co mu i zasdrośćc nie ma oo, a nakoniec, że wierzyli w Mudroniowe talenty. Przy tym radzi byli, że się u nich, we własnej wsi taki znalazł, co taką rzecz sprawi, że nie trza po inyk wsiak o takiego pytać, albo aż w mieście, w Nowym Targu, majstra szukać.

- He, Mudroń biedok, ale głowe mo! - mówił Michał Klamkos.

- Bieda go wyuczyła na sytko! - mówił Jakob Cisek.

- Na syćkie sposoby!

- Ej, hłopie, ale ono go wej onaczyło, onaczyło. Od malućka. Dej go przecie bacem. Mnie jus bożo na őrernosty, kie on taki hłopczyk w kosulce ganiał, gaci, przepytujem, mu nie syli, bo nie beżo s cego, a kie mu w powietrze moskolia kućcik, abo grule warzonom rwili, to tak w powietrzu dopad, jak pies. Bo to strażnie głodne a biedne beżo.

- No, ale sie teraz sprości! To sytko nie. Ale za te dziesięć dukatów Harbutowyk to se i pola kupić moze.

- Ze ba jako? Kupi! Jesce i kęs!

- Skońceża sie Mudroniowo bieda.

- Zje dy dobrze.

- To nie, jino Pombóg niebosoyka Rymaca tak wej nadethnon.

- Może? A to wiecie i Harbut dobrze robieł, co zbijał, bo kieby nie miał, toby nie dał.

- Sprawiedliwie padacie. Jućci widno Pana Boska Opatrzność ku temu wiedła. Kieby Harbut nie kradał, cozby biednemu dał? Kradnij, ale dej! Takie jest boskie prawo.

- A bo wiera takie!

A Marcin Mudroń ohodził jakby w załgnieniu, jakby w tumanie złotym.

Krowa, cielę, dwa korce grul, baran, korzec owsa, dwa po pół korca jarou, prosię, sztuka płótna, talar i - Marcin Mudroń sam przed sobą nawet prawie wymówić nie śmiał - dziesięć Harbutowych dukatów! Dziesięć dukatów! Madziarskich dukatów!

Mudroń nigdy őrybelnego talara, nie dopiero złotego dukata, nie widział - a miał takich dziesięć mieć!... Dziesięć mieć!

Kiedy przyszedł do domu, Jaś i Zosia siedzieli na progu.

- Dzieci! - krzknął Mudoń - Beemy mieć krowe, ciele, barana, prosie, dwa korca grul, korzec owa, dwa po półkorca jarou, štuke płótka, śrybelny talar i dziesięć madziarskich Harbutowyk dukatów! Dzieci!

Ale dzieci nie rozumiały nic. Pierwsza Zosia zapytała:

- Co beemy mieć?

Ale Mudoń jej już nie powtórzył, co będą mieli, tylko porwał ją na jedną rękę, Jasia na drugą, i zaczął to jedno, to drugie ośkładać i przyciskać do twarzy, na koniec z nieopanowanej radości obrócił się z dziećmi na pięcie i zakrzyczał głośno:

Powiadajom na mnie, co jo niemom polał
Na Czerwonym Wiru połówek moja!

I zaczął się śmiać, tupać nogami, podrygiwać, przestraszona, aż się Jaś rozegłmał, a Zosia, przestraszona, rozpłakała.

Mudoń rzucił się na pościel jak pijany, nie nie zważał, że na wieczerzę zjadł jeden zimny ziemniak, bo więcej dla niego nie było. A w nocy śniło mu się, że koło niego tak olbrzymie karpiele rosły, że na szczytach po nich musi chodzić, takich, na jakich za dawnych czasów, jak ojcowie powiadali, od osady do osady ludzie chadzali, bo jeden mieszkał haw, a drugi o mile.

I rano jeszcze taki wesóły się obudził. Jakoś nie zastanawiał się nad tym, jaką to robotę podjął. Huczało mu w głowie to bogactwo, które miał dostać, poza tym na nic w głowie miejsca nie miał.

Chodził jak błędny koło chałupy, nie jadł nic, ledwo tylko zbaczył sobie i dzieciom dać pośniadac.

Nagle przed południem para gniałych wójtowych koni zajechała: na przedniej i na zadniej karze łańcuchami upięty przyjechał okrzesany tram jodkowy na Świętego Antoniego.

- Biercie się zaraz do roboty - mówił parobek wójtów, zrzucając drzewo przed izbą Mudońską. - Wójt kozeli pedzieć, ooby to wartko beło.

- Bedzie - odpowiedział Mudoń.

Parobek spał łańcuchami kary, skoczył na siodłowego, śmignął po naręcznym biczem i ruszył kłusem. Głośno się rozległo jego:

Skondze idzies, hłopce? Z doliny od koni, hooby od dziewczyny - el - wtoz mi zabroni! Hej ha!..

Przyszeli Jaś i przyszła Zosia i stanęli ponad kłosem jodkowym. Stanał nad nim także Marcin.

Kłoc był ogromny, okrzesany, biały, świeży, pachnący. I dziwnie martwy. Marcin tyle takich kłoców przy budowie widział, tyle się w lesie u ludzi przy drzewie narobił - nigdy nie odebrał tego wrażenia martwoty ze świętego, okrzesanego, białego pnia, jak teraz.

Choć go ruszyć nogą, ale się wstrzymał - miał to być przecie Święty Antoni. Dotknął go ręką - kłat wydawał się Marciniowi zimniejszy, niż wszystkie, których dotychczas dotykał.

Zdjął go jakiś zabobonny lęk, przeszedł nawet dreszcz.

"Niemas dziwoty nijakiej - pomyślał - dy to przecie Swienty"...

Patrzył Marcin Mudoń na kłoc, a przypomniał sobie, gdzie jaką świętą figurę w kościele widział?

A z daleka, z daleka, zagrało jeszcze w ochu parobkowskie:

Ani tak nie jidzie austryjaeki Dónaj,
jako dziewczce jidzie, kie jom wiedzie śuhaj!
Hej ha!...

- Wiera! Temu hań dobrzel - mruknął sam do siebie Mudoń.

A Jaś i Zosia patrzyli na jodkę nieruchomi, aż Jaś zapytał:

- Tato? Co to?

- Swienty be - odpowiedział Mudoń.

- Swienty co?

- Swienty, dziecko, to Swienty.

- A - rzekł Jaś z przekonaniem.

- Tato! - odezwała się Zosia.

- Co dziecie?

- Jeść.

Jeść. A tu w izbie nie było nic. Warzyło się parę grul na obiad, ale jeszcze surowe były. A zresztą nie było nic.

Porwał Marcin Mudoń Zosię na ręce, przycisnął do siebie, a gorące kzy trysnęły mu z oczu.

- O moje biedarstwo! O moja bogacko! - mówił łkając. - Wiesz, w tym haw kłocie jedlowym majontek leży! Jus niebe Zosia nigda głodna, niebe jej nigda ziuziu, niebe nigda nieodziała! Nigda! Nigda! Nigda!

I zanosił się od płaczu z bólu nad nędzą swych dzieci, z rozrzewienia na myśl o tych dostatkach, którymi je otoczy.

- Tata płako - zauważył Jaś.

- Płako - powtórzyła Zosia.

A Mudoń postawił Zosię na ziemi, skoczył do izby, wygrzebał gdzieś suchy ułomek moskoka, wraził jej w garść i począł dalej patrzeć na kłoc jodkowy.

Patrzył, patrzył i nie widział... Kieby jeszcze ten parobek zaśpiewał!... Półki głos choć z daleka dolatał, nie czuł się Marcin tak samotny z tym Świętym, śpiącym w jodkowym drzewie.

- On hań jest, Swienty Jantoni, ale jako go dostał?

He, niebees ś nim jinacyl robieź, jino jako ze złobe, oy z ławom popod ścianie... Trza wymierzać i rób...

Ba - ale jak?

Złób to złób, a ława to ława... Ale haw trza głowe, rence, nogi wyrzezać... Trza sprawić ooy, nos, gembe... A jeszcze to nie tak, ale u Swientej osoby... I kieby to ta jeszcze taki Swienty nie taki, ale to ze samego pierwszego końca Swientyk, ze samego przodka... To telo, co Swienty Jan, bez małza oo i Swienty Józef.

I padł Marcin Mudoń na kolana, prasnął kapelusze z głowy, przeżegnał się i począł się modlić na głos:

- Panie Jezu, Ojcie świata, dej oobyk przecie tego Swientego Jantoniego z tej jedle wykrzesać, i Ty, Swienty Jantoni, patronie złodzieji, dospomóz, oobyk Cie przecie telo doprawdzieź, ooby kozdy doświadoeź, seś to wiera Ty sam, a nie wtóry jiny, Jacenty cy Bartłomeń. Jamen! Jamen! Jamen!

Po czym wstał, odgarnął z oszoła włosy i asepaoc: "Nie Swientci gorki lepiom, ba zdumy", poszedł do izby po oieglieć, po świder, po młotek, piłę, po cały sprzęt, jaki miał, bo sam nie wiedział, co mu do tej roboty może być potrzebne.

I jakiegoś wiedznie weń weszło, snadź Pan Jezus i Swienty Jantoni wysłuchali jego modlitwy, bo począł krzesac.

Na obiad tylko tyle, co skoczył grule odcedzić i dzieciom dał, sam ledwie co do ust włożywszy, a zresztą krzesak, odrzynał piłą, mierzył i karbował, do zachodu słońka.

Zmordowany, dorobiony, zziębnięty, rzucił się na pościel, czyli to co się pościelą nazywało.

- Dawitna bo dawitna ta robota, ale donośny koń każdemu, i nocieniejsom fure siana rusy... A pote kie musis...

Jaś i Zosia spali przytuleni do siebie. Jaś usnął z nagryzionym ziemniakiem w małej rączce. Skulone dzieci leżały pod lichą płachtą, noc była zimna.

Zdjął ze siebie Marcin Mudroń czuchę, krótką, białą czuchę, gdyż się czym innym nie okrywał, bo nie było, i przyrzucał nią dzieci.

Został w serdaku.

Ale potem zdjął ostrożnie, delikatnie czuszkę z dzieci, a przykrył je serdakiem, żeby im ciepłej było pod wełną.

Zaczęło mu się dopiero drzemać, kiedy słyszy, dzieci się ruszają.

- Jasiu! - szepce Zosia.

Jaś śpi.

- Jasiu! - szepce Zosia głośniejsze.

- Co? - obudził się Jaś.

- Dejze mi te grulectce, co jom w rancy trzimes.

- Dobrze, ne...

- A jo oi dom ś niej połowectce...

- Dobrze, dej...

Marcin Mudroń zatkał uszy dżoniami i obrócił twarz ku barłogowi, ku ziemi.

- Serce! Strzimi! Serce! Strzimi! - jęczał Marcin Mudroń w sobie.

Usnął twardo, nie śniło mu się nic, obudził się przed świtaniem, klęknął, pacierz zmówił, obmył się przed izbą, z garka zimnego ziemniaka z wczorajsza wyłowił, delikatnie z dzieci serdak zdjął, bo zimno jeszcze na polu, a czuchą je znowu przyodział, z okrzeseł z jodły ogień rozniecił i śniadanie nastawił i zaraz do roboty wyszedł.

Kłoc mokry od rosy porannej szarzał w mroku i mgłę. Mgła gęsta przyległa okolicę, na deszcz, który już nawet siomplił.

Ale Marcin nie zważał nato. Ujął cieplacę i dalej, podług znaków wywiertanych świdram, krzesak poczajął.

Siompawica poranna poczęła się powoli, jak to zwykle bywa, przemieniać w lić; puściła się ulewa. Ale Mudroń pracował dalej.

Aż ukazał się w progu Jaś w koszulinie i począł wołać:

- Tato! Tato! Telo dyc rumoli! Pociet do izby!

A za nim wychyliła główkę Zosia i zawołała:

- Tato! Telo lumoli! Pociet!

Ale Marcin tylko się uśmiechnął do dzieci i kiwnął ku nim ręką, na znak, aby się cofnęły z progu. Krzesak, a modlił się do Świętego Antoniego, żeby ta lejba ustała przecie jako. I od południa nagle wiatr rozgonił chmury, i słońce wyjawiało się na niebo.

Wielka, ogromna radeś i otucha wstąpiły w serce Marcina. Ozgajdało się, słońko wyszło, Święty wysłuchał jego prośby i upytał Pana Boskom Moc o pogodę.



Choć cały ciekący od wody, rzesak i piłował Marcin teraz z podwójną siłą i energią. Już poczęło się wyłaniać to co mu się przedstawiało jako głowa Świętego.

I zeszedł jeszcze dzień jeden i drugi, aż pod noo, na czwarty dzień od zaczęcia roboty, Święty Antoni wydał się Mudroniowi skończony. Trza go było pomalować, a to już będzie łatwo. Włosy na żółto, brwi na czarno, oczy na niebiesko, twarz na różowo, usta na czerwono, odzienie na czarno, ręce i nogi na białe. Zaraz rano po pieniądze na farby do wójta pójdzie i przygotowawszy dzieciom strawę, do miasta po nie polecie.

Tej nocy miał Marcin Mudroń śliczny sen. Zdawało mu się, że Święty Antoni przez łąkę jasną, zieloną, pełną kwiatów, jak na wiosnę bywuje, szedł i dwoje jego dzieci za ręce prowadził. Jasio po prawej stronie, Zosię po lewej. Dzieci się do niego uśmiechały, a on, co je z ręki puścił, to je po głowach pogładził. Słońce takie jasne świeciło, jakiego Marcin nigdy nie widział. Była to niedziela cicha i pogodna, a kwitnąca kwiatami. Szedł Święty Antoni z dziećmi Mudronia przez łąkę coraz dalej, coraz dalej, aż w jakimś obłok złocisty począł z nimi wnikać, aż zniknął.

Obudził się Marcin Mudroń pełen rzeźwości i wesela. Nauczywszy dzieci, aby od izby nie odchodziły i gdzie jeść mają nagotowane, poszedł do wójta.

Wójt się prawie na obrze kręcił.

- Niek będzie pokfalony - ozwał się Mudroń, zdejmując pokornie kapelusz.

- Na wieki wieków! Je cos ta? - zapytał wójt wyniośle.

- Swienty gotowy. Sełbyk na farby w Nowy Targ.

- E wiera! Cysto piekniejek o farbuk zabaczył!

Kielo to trza?

- Cy jo wiem? Trza farby żółtej, czarnej, białej, niebieskiej, cyrwanej i różanej. Seści farbów trza.

- Ale moc?

- Je ta jino jacy czarnej, na odzienie.

Wójt sięgnął za pas, dobył trzy cwancygiery, dał Marcinowi i rzekł:

- No to leć! A jak co zwysys, to odiaj!

- Tak będzie. Ostańcie s Pane Boge - odpowiedział Marcin, ukłonił się wójtowi nisko i ruszył przed się.

Nakupił farb, jakich trzeba było, gład mu książki skręcał, ale sobie z domu zapomniał jedzenia wziąć, a choć owanoygiery i trzynastoje grajcarzy zwyższył, nie śmiał pieniędzy wójtowych ruszyć. W mieście było tyle obwarzanków, pierników, cukierków dla dzieci!... W samym tym sklepie, gdzie na farby był... Trzy rasy Mądron Szaflarską ulicą wychodził i trzy rasy wracał... Na koniec nie mógł się przevalczyć, nie mógł się przełamać - kupił dzieciom cukierków za dwa dudki wójtowe.

Postanowił to powiedzieć wójtowi i że mu wróci z zarobku ze Świętego. Postanawiał to całą drogę, a gdy znowu na oborze wójtowej przed wójtem po południu stanął, brakło mu odwagi.

Wójt się farbom przypatrzył, pokłwał głową, odebrał resztę pieniędzy, owanoygiery, styry dudki i grajcar, ale widząc dziwne pomieszanie Mądronia, zapytał podejrzliwie:

- Kielog dał?

- Dwa owanoygiery - zawałał się Mądron - osiem dudków i glajcar.

- Nie cyganis?

- Nie...

- Jo sie ta dowiem u Laura na drugi pendziałek, w jarmark - rzekł wójt.

Mądron zadrtwał w sobie, ale pomyślał szybko: do drugiego poniedziałku on będzie miał pieniądze za Świętego Antoniego, wójtowi wróci dwa dudki, a jeszcze mu piwa na tym jarmarku kupi, to sie zagozi.

- No idź - oswał się wójt wyniośle i odwrócił się z poleceniem do parobka.

- S Pane Boge ostaniole - bąknął Mądron nieśmiało.

Bose cie prowadź!

Nie! Nie!... Jak to Zosia wyciągnie obie rączki do tych cukierków, jak to się Jaś do nich rozciągnie!... Nie, nie - niech ta już będzie co foe, lepiej zrobił, że kupił...

Nie ukradł, imo pożyczyl... Wróci... Jeszcze wójtowi piwa kupi... To tak, jakby z lichwą wrócił, a jeszcze s kielom!

I wyciągnęła Zosia rączki do cukierków i ośmiał się do nich Jaś.

- Doble - mówiła Zosia.

- Słodkie - mówił Jaś.

- Tato, to outielti? - pytała Zosia.

- Cy sie to sieje i pote rośnie? - pytał Jaś

A Mądron im dawał, dawał, aż już nic w papierze nie było.

- Niema wiencyl? - spytała się Zosia.

- Tato, dejciez jesce! - prosił Jaś.

A kiedy Mądron poszedł do sąsiada garnków parę pożyczyc na gotowanie farb, "Niema wiencyl" - mówiła smutno Zosia, Jaś zaś rozmawiał:

- Trza bežo dwa, abo seğ zasiać, toby beły na drugom wiosne uroszy...

Mądron wrócił z garnkami, ugotował farb i nazajutrz od rana malował przez cały dzień Świętego Antoniego. Na szczęście pogoda była śliczna i trwała, i Święty mógł schnąć i na polu.

Na koniec nadzedł ten dzień, kiedy figura wyszła do snaku, i wówczas Mądron udał się do wójta donieść, że skończył. Było to we środę. Nazajutrz było święto we czwartek, i wójt obiecał przyjść obejrzeć Świętego.

Jakoż po południu w towarzystwie najdostojniejszych gospodarzy wkroczył wójt w obejście Marcina Mądronia. Kłoc, wyobrażający Świętego, wykresany w jodle, stał podźwignięty na okragłej podstawie, którą mu Mądron umyślnie sporządził.

Popatrzył wójt, popatrzyli inni chłopci i nagle ogromny, niepohamowany śmiech wybuchnął z ich szerokiej pierai ponad blyzoscąym od mosiężnych klamer pasami. Śmiali się, którzy przyszli, Cisko-wie, Klankosy, Harbuty, śmiali się długo, głośno, rozlegle. A spoza progu izby, zza uchylonych drzwi wyjrżeli ku nim przerażeni i zadsiwieni Jaś i Zosia i skryli się napowrót.

Kiedy się gazdowie nareszcie naśmiali do syta i pasów poprawili, zapytał wójt stojącego pod figurą bladego, jak trup, Mądronia:

- Cos to?

Mądron, gdy gazdowie zaczęli się śmiać, z początku nie rozumiał; pierwsze wybuchy śmiechu nawet wziął za oznaki zadowolenia. Ale teraz już zrozumiał dokładnie.

- Coz to jest?! - zapytał wójt.

Naprzeciwko wspaniałych, potężnych, dobrze uchowanych gazdów, pod wysoką figurą Świętego Antoniego stał mały, chudy, nędzny Mądron i dygotał na całym cieles.

- Co to ma być? - powtórzył po raz trzeci głośno zapytanie wójt Cisek.

Mądron chciał się odeswać, ale mu głos zawiązał w gardle; mruknął coś tylko, jak niemowa.

- Cośeś zasłpnon, cy oo? - zawałał wójt z pasją. - Gadoj! Co je to jest?

- Swienty Jantoni - wybełkotał Mądron.

- Jedlowy kłot pomalowany, nie Swienty Jantoni, psławiaro jedna! - huknął wójt. - Ka piniondze, oo jak ci dał na farby? Co? To jak ci na to dał, cobyś jedlowe kłoty s nimi farbił oo?!

Mądron trząskł się i kurozył pod gniewem wójtowym.

- Jedle Rymacowom het zmarnił! - oswał się brat wójta, Jakób Cisek.

- Ten, co jom niebosoyk na Swientego okfiarował! - zawałał Klankos.

- Po ooś sie poruwał na to, kie tej robocie nie rozumies?! - krzyknął Malinowski.

- Basarkania! Pytał cie wto o to?! - zawałał Krzysiak ze złością.

- Haj! Haj! Pytali my cie, ty gażaganie, dotrze, faktorze koński, ty pusta łeb?! - hucseli chłopci.

Marcin Mądron drżał i myślał, że go będą bić. To ci sami, co tak chętnie ofiarowywali owsa, jarcu, prosię, barana. Mądron spojrzwał ku Harbutowi, bo i on przyszedł, spojrzwał ku niemu błagalnie, rozpaczliwie, jak kot, którego chłopaki psom chcą rzucić, patrzy na starsze osoby - Harbut się nie śmiał za innymi. Ale Harbut splunął tfy, machnął ręką, odwrócił się i odszedł.

- Coz bedzie? - oswał się Jakób Cisek.

- Cosby bežo? - odpowiedział mu brat wójta. - Mądron jedle zapłaci, piniondze za farby mnie wróci, zetnie sie jinom jedle w Rymacowym lesie i da sie do miasta Swientego zrobić. To musi być! To święte!

- Swiente! Musi być! - zawałali chłopci. - Wola niebosoykowo! Swiente rzeo!

- Haj, haj! Wola niebosoykowo! W destamencie

stojli

Mudroń patrzył te na gazdów, to na Świętego Antoniego, i świat mu się zawracał w głowie. Wreszcie jęknął:

- Jakos ja jom zapłaćom? S czego?...

Nie wzruszyły się ohłopakie serca, ale zastanowiły się ich mózgi.

- No jaści prowdą - rzekł Klamkoś - s oegoz on zapłaćci, kie je dziód?

- No haj - przytwardził Krzysiak.

A wtędy wójt, Mikołaj Cisek, ogwiadożył wspaniale:

- To nio. On te odrobi u mnie przi tyk dutkak, oo s nimi na farby poseż. Bo hoóbyś mu foiaż oo wsiąć, ooz mu weźniesz? A teraz bydź zdrów, dziadul Skoda haw dżuzy i stać!

Wtem wysunęła się zsa węgła chałupy Zosia z cukierkiem, z jakimś gdzieś zawieruszonym i na nie-szczęście znalezione, w buzi.

Wójt dojrzał dziecko i cukierka i wskazał ręką obecnym.

- Iole, hłopi, - rzekł - Mudroń biedok, biedok, a jego dzieci cukierki zrejcom.

- He! - swrócił się nagle ku Mudrońowi, jakby mu coś w głowie zaświeciło - he! Cy to pote nie od farbuk?

Mudroń smartwiał.

- Iole, jako smiertwiał?! - wołał dalej wójt.

- Gadoj, skondeś na cukierki lo dziecysków wzion? Mudroń młozak.

- No - akond?! Ehe! Od farbuk? Psiakryda jema! Kieloś ukrod, co?!

Nagle z niewiadomej przyczyny wójt stał się jeszcze wspaniałasy, niż był zazwyczaj. Przestał krzyżować i rzekł s potęgą:

- No kieloś ukrod, to twoje. Jino mi juz nie praihodź do roboty odrobić nie, cobyś oo jesce wienoył nie sajon.

Naówczas Mudroń rzucił mu się do nóg.

- Panie wójcio, panie wójcio! - skomlał - Panie wójcio! Na rany boskie! Nioek nie wzion, jino dwa dudki... Dwa dudki jino... Dydziek sie przecie spodziwoż mieć s oego wróció!... Nieg mi darujom, nieg sie nie gnijawom! Dy moje dzieci nigda cukierków w gambie nie miały jesce, telo jino, oo u inyk dzieci widowały... Panie wójcio! Nieg mi przebacom! Dyjek jo nigda złodzieje nie beż, ani nie bedem!... Trzi razy jek z miasta wysek, kimek te cukierki kupież... Panie wójcio! Dyj majom dzieci, te wiedzom, jako to!... Dziecko i dziecko... Dej-był mu krew spod serca daż... Krew spod serca samego! Panie wójcio!... Jo te dwa dudki dubelt telo odrobiem.

Ale wójt z niesmakiem i wsgardliwością się odwrócił, a za nim odwrócili się imi, jak to sa wirnością. A Klamkoś mruozak z oburzeniem:

- Kieby jesce na hlib, ale na cukierki!... Odessli.

A Mudroń został przy jedlowym kłasic kłęczący. Wysunęły się zsa drzwi dzieci, przybliżyły się ku niemu. On kłęsał z włosami postrachonymi, ze świeżoną głową, zapłótłazy palec od prawej rancy na palec od lewej rancy poniżej brzucha, przy siemi.

Kłęsał tak, długo, aż oswał się Jaś:

- Tata!

- Co?

- Ci hłopi teżo wom cosi nadrumkali!

- Telo wom nadrumkali! - powtórzyła Zosia.

Marcin Mudroń ossalał. Jak był, bez kapelusza, bez osuchy, nie oglądając się na dzieci, począł uciekać od chałupy, biec przed siebie, w las. Pędził coraz dalej, coraz głębiej, pod górę, z góry na dół, przez potoki, przez źleby, przez wykroty, nie patrzył, czy styrbno, czy pożogo, gnał coraz dalej i dalej. A za nim przez potoki, źleby i wykroty gnała żałość, gnała boleść i rozpacz. Znowu dalej będą go kopać i poniewierać, że dziad, znowu dalej przed wójtową wirnością, przed Harbutowym bogactwem będzie się musiał ospłascać, jak głodny pies przed swoim panem, dalej głód, nędza i zicmb będą go gryzły, wiecznie już, wiecznie, do końca ta okropna trwoga o knide jutro, o každy dzień... I te upokorzenia straszne! To obchodzenie chałup, to zagładanie, ozy gdzie nie ma roboty jakiej, to wiecie się u nóg ludzkich, to przyleganie do nóg, byle tylko wyżyć, byle nie zdechnąć i z dziećmi... A dzieci, dzieci! Te najniebezpieczniejsze, najbrudniejsze, najuboższe dzieci we wsi, nigdy nie ayte, nigdy nie odziate, jak się patrzy, zawsze smutne dzieci!... Odpemnięcie, poniewierka, pogarda, wstręt innych dzieci wsińskich! Dzieci jego, dzieci!...

I teraz nadal czy on robotę jaką znajdzie? Czy może o jakiej nawet myśleć? Zaufanie do siebie swalił, złodziejem został, wiarę w siebie zakopał w ziem, w ziemi. Tyle przynajmniej o nim mówili: "Postrachany biedny, ale ci ani cenoki nie ukradnie!". A teraz...

- No to jek sie juz skońceż - szepnął zapiekłymi wargami. - Od terażnia jus po mnie, a i po dzieciak... Poniewierała mie bieda, teraz mie be poniewierać i poniewierka ludzko... Juz sie sytko założyło nade mnem... ani ziemie pod moimi nogami... Zginonek z dusom i z oiaże...

Czy się ze skaży ka w źleby, wrumowisko prasnąć?...

Ale hań dzieci, Jaś i Zosia, obidwa...

Takie maże, takie głodne, takie same, nieazczęgliwe, opuszczone... Jaś i Zosia... Jakoz się to wyhowo? Ka się to podzieje? Po pytanu nie pudzie, bo maże, jesce i to zima hmet... Ludzie tego do siebie nie wezmom, a jakby wzienil... Jezus Maryjoi! Dyjby zakopali, zabili, doponiewierali tak, oo raty na świecie! Dyjby sie to zapłakało, łzami zadawiło, dyjby to pomarżo! O Boze, Boze!...

I hań w izbie siedzom same, samuókie, maże, głodne smarznione i płacom i krziesom: "Tata! Tata!"

Kanyzek jest?

He! Kiele jek dale od hałupy! Dydziek pod Wante! A wtorendejek leciaż, smi nie wien!

I wsiął się Marcin Mudroń ku domowi, ku wsi, wprost przez lasy, na żeb na ssyję.

Przyleciał już późno w noocy, prawie ku raniu. Wpadł do izby. Dzieci wewlekły na się ojcową osuchę i spały - nie na łóżku, ale na gołej podłodze w kącie, przytulone do siebie ze strachu, jedno przy drugim, że anibyś aspilki nie wraził między nie.

Marcin Mudroń popatrzył na nie - asarzało już w izbie.

A potem gruchnął na kolana z jękiem:

- Panie Jezu, Ojce świata, Noświenta Panno

Maryjo i Ty, Święty Jantoni, patronie złodziejki,

dospomóżciez mi! Dospomóżciez mi! Dospomóżciez mi!
Na te dzieci moje Was zaklinom hań śpionce! Na te
dzieci moje!

I zerwał się z podłogi, ohwycił narzędzia cie-
sielskie i skoczył ku figurze Świętego Antoniego.
Nowa wiara, nowa siła weń wstąpiła. Już wiedział,
co było źle, co trzeba poprawić. Nic to, że farby
popsuje - jak zobaczą, że je dobrze wyrzezany, to
już będzie! Pawlik mu na farby da, Pawlik...

W Pawlika wierzył. Nie przyszedł on oglądać
Świętego Antoniego, bo go wójt nie zawołał.

"He! - myślał Mądron. - Pawlik, ze jino pierze
babom, prosiaka na jarmarku, spyrka ka gazdowi z
kumory ukrod, to go nie wołali - a Harbut, co po
Luptowie zbijał - gazda!... Tak to wej, tak"...

I krzesak. Od nowa. Od cała... W kłocu drewnia-
nym w natohniemiu jakimś począł wykuwać ludzkie
ciało, począł je czuć pod ręką... Dłutem je wystru-
giwał, nożem ostrym wypęczniał... I jakiś jakby
las Świętych zamajaczył przed nim... Las drzew,
las jodeł hrubych, starodawnych, a w każdej święty
zaklęty jak żywy... A za sytkie te jedle po dzie-
sięć madziarskich dukatów...

Nagle zamroczyło mu się w oczach, w mózgu...

Otwarł oczy - wznak był twarzą ku słońcu, któ-
re dopiero co wstało, głową na mokrej trawie pod
figurą Świętego...

Otwarł oczy - wznak był twarzą ku słońcu, któ-
re już było na niebie, na mokrej trawie pod figurą

... Dzieci były przy nim...

Otwarł oczy - wznak był twarzą ku słońcu, Zosia
stała mu wedle boku z palcem w buzi, a Jaś siedział
tuż przy nim z brodą na rękach rękach i patrzył
nań wielkimi oczyma.

I usłyszał Mądron, jak Jaś się pyta:

- Tato, śpicie? Nie śpicie jus?

I znów otwarł oczy. Słońce było prawie w tym
samym miejscu, co przedtem, trawa pod głową suchsza,
mała Zosia dotykała mu rączką twarzy, płacząc pewno
z głodu, a Jaś siedział nad nim, jak pierwiej, nie-
ruchomy, z brodą opartą na rękach, i wpatrywał się
weń wielkimi oczyma.

"Konam" - przemknęło Mądronowi przez mózg.

Zląkł się straszliwie, choiaż się podnieść,
dźwignąć na łokciach - ale ciemno stało mu się w
oczach.

Potem usłyszał, ale Jaś dziwnie cicho mówił do
kogoś:

- Tata lezom i śpiom od rania...

Zosia płakała.

Kaz tyn Swienty Jantoni, coby dzieci na ten
hań kwitnonoom żonke wiód?... Za roncyoki... Po
lewej stronie Zosia, po prawej Jaś... W ten nie-
dziele... We złotom gme... Kajsi het... W radość...

- Serce w nim pukło - poznał nad sobą niezmier-
nie cichy Pawlika głos.

A potem stało się w Marcinie Mądroniu zupełnie
cicho.

Eliza Orzeszkowa



PANNA RÓŻA



Jak żyję, nie doświadczyłem większego zdziwie-
nia nad to, którym przejęło mię opowiadanie, czy
wyznanie, tego zacnego, wykształconego, przyjemne-
go, nade wszystko zaś bardzo, bardzo majątnego pa-
na Seweryna Dorazy. Kiedy taki człowiek mówi, wie-
rzyć trzeba: a jednak któżby przypuszczał, któżby
mógł się spodziewać? Więc szusany jest rozkaz
dany człowiekowi, aby nie czynił się sędzią bliźnie-
go swego? Tak, Tak! Bo czasem na nieznanym dnie
czyjegó serca leży w ukryciu taki brylant, że
niech się przed nim i Książę Regent z angielskiej
korony schował! Tylko, że samo jedno widzi go oko
boskie...

Chyba jedno boskie oko widzieć mogło, że ta
panna Róża posiada w ogólności jakikolwiek brylant,
gdyż dla ludzkich oczu jest to sobie taka niezajmu-
jąca i nic nie znacząca figurka, co to ją można sto
razy widzieć, a niespodziewanie spotkawszy, nie po-
znać, i sto razy spotkać, a ochoty do najmnijszego
zbliżenia się nie doświadczyć. Ani młodości, ani

wdzięków, ani wyższej inteligencji, ani stanowiska
w świecie - słowem nic z tego wazyatkiego, co może
zbliżającemu się człowiekowi przynieść zysk pod po-
stacią jakąkolwiek, więc też na zbliżenie zasługi-
wać. Bo tak: jeżeli kobieta jest piękna, choćby
tylko nieszpętną, choćby tylko młodą, to tam czło-
wiek różnych przyjemności kapitalnych lub pomniej-
szych spodziewać się od niej może; jeżeli znowu po-
siada inteligencję niezwyčajną, dowcip, talent, to
oprócz konwersacji przyjemnej i tego miłego podra-
żnienia ciekawości, które każda niezwykłość obudza,
jest jeszcze w perspektywie niejaki odblask, rzuca-
ny przez wszelką rzecz błyszcząca na tych, którzy
się do niej przybliżają. Zresztą piękny umysł - to
w terażniejszych czasach najoszczędniej, dla kobiety
zarówno jak dla mężczyzny, i piękna pozycja w świe-
cie; a jeśli kobieta znajdzie się w posiadaniu tej
ostatniej nie przez samą siebie, ale przez męża - i
tak dobrze, bo skąd wzięta, to wzięta, byle była,
a już zaraz łatwiej dostrzec różne brylanty i w ser-

ou i w głowie. Lecz istnieje cała kategoria kobiet takich, iż gdyby nagle rozwiały się w powietrzu i zniknęły, nikt nie spostrzegłby, że już ich nie ma, ani spostrzegłszy, po nich westchnął. Bywa to nawet często pracowite, uczynne, usłużne, jakby wiecznie przepraszające za to, że żyje na świecie, a pomimo to szacunku i sympatii ku sobie nie obudza. Ej, nie! Siew uszuć jest zbyt drogiem, aby go rozrzucić po takich jałowych dolinkach, gdy plony wydać może tylko na gruntach wysokich i żyznych. Do takich dolinek należy właśnie ta panna Róża, która w charakterze ubogiej krewnej i zarządzającej gospodarstwem ochmi-strzyni przebywa w powszechnie znanym i szanowanym domu naszych zamożnych, miłych, gościnnych, majątnych państwa Januarostwa. Mówię: naszych, bo mam zaszczyt sąsiadować z Dworkami i pozytywać się za bliskiego znajomego, prawie za domownika ich właścicieli. Ładny majątek i - bez długów. Samo już to, że pan January nie ma długów, oś dla sąsiadów jego znaczy, bo każdemu jest przyjemnie zostawać w znajomości, a jeszcze i poufałej, z fenomenem. Gdyby brat pana Januarygo żył, z majątkiem byłoby nieco inaczej, bo musieliby się nim podzielić. Ale ten biedny Broniek od dawna już przestał po tym świecie chodzić. Dlaczego i jakim sposobem przestał - o tym dawniej w Dworkach ludzie mawiali po cichu, a potem mówić przestali, zapomnieli. Pamiętały może senny lasu, który zaczynał się bliżutko od dworu, a odgąnął się kędyś, aż bardzo daleko; pamiętała też musiała panna Róża, bo wyobraźcie sobie państwo rzecz trudną do wyobrażenia, ale prawdziwą, że była ona niegdyś zaręczoną z rodziutkim bratem naszego majątnego i kochanego pana Januarygo, z tym biednym Bronkiem, co to tak mamie... No, mniejsza o to; ale było potem powszechnie wiadomym, że kiedyśoi panna Róża była zaręczoną jednego z najprzystojniejszych i najmajątniejszych w okolicy naszej kawalerów. Sic transit gloria mundi.

Jednak, prawdę mówiąc, i teraz jeszcze, gdyby się kto przypatrzył uważnie, mógłby w niej dostrzec nie tylko głady, lecz może i pewne przetrwałości dawnej urody. Nie będąc już młodą, i bardzo też starą jeszcze nie jest; tylko, że nic wcale nikogo do przypatrywania się jej nie skłania, a skądinąd znowu taka panna Róża, jak świeczka przy słońcu, musi stawać się niewidzialną wobec takiej pani Januarowej. Bo okolica nasza prawdziwie pochłubić się może posiadaniem tej kobiety, różowej jak zorza, białej jak mleko, hożej jak młoda pani, a okazałej jak królowa, a w dodatku mądrej... oho! Żeby była bardzo piękna - to nie: noszek za krótki, buzia za szeroka, włosy koloru blond, za rzadkie, ale cera jak róża ze śniegiem, wzrost bujny, oiaża białego dużo, wargi koralowe. Żeby była wykastaną, albo utalentowaną - także nie; ale jest w niej sprycik taki, co to sam przez się stanowi pewien gatunek mądrości, i to nie byle jakiej, bo prowadzi do posiadania różnych dóbr tego świata... no, naturalnie, że nie tamtego zaziemskiego, niepewnego, ale tego tutejszego, praktycznego, jedzącego, pijącego i smaczno sypiającego świata. Już pierwszym dowodem tego spryciku było jej wyjście za mąż za pana Januarygo.

Wdowiec z trojgiem dzieci, z włosami szpakowatymi a wąsem już zupełnie białym, ze zbyt długimi ru-

mienkami na tłustej twarzy i ze zbyt dużą tuszą dla niewysokiej figury, nasz kochany i szanowany pan January zakochał się w dziewczynie do czerwonego południa podobnej, ale złamanego szęłaga posagu nie mającej. Może zresztą i za wiele powiedziałem, że zakochał się, bo i wiek nie bardzo już był po temu, i nigdy nie należał do rzędu tych, którzy w niebieskich migdałach smakują. Ale w oko mu wpadła, podobna się, że zaś Dworki są majątkiem dobrym i nieobdłużonym - dla czegoż miałby odmawiać sobie jednej przyjemności więcej w tym tak krótkim i utrapionym życiu ziemskim? A jeżeli to, że się o pannę Izę oświadczył, było bardzo zrozumiałym, głupego tylko dziwić się mogli, że ona te oświadczenia przyjęła. Byli taacy, którzy dziwili się, i tacy, którzy się martwili. Jakiegoś młokosa na małym folwarczynie siedzący, który szalenie się w niej kochał, tak się jej postanowieniem zaalterował, że aby w sąsiedztwie niewdzięcznej bohdanki nie pozostawać, folwarczynę sprzedał i na skraj świata pojechał. Ale to wszystko jest pustym i oczym romantyzmem. Fakt zaś się przedstawia, że pani Januarowa żyje sobie w Dworkach, jak królowa, otoczona dostatkami, elegancjami, szacunkiem powszechnym i dworem, którego mąż jej jest pierwszym marzałkiem. Bo i to wiedzieć trzeba, że nasz rozsądny i skądinąd energiczny pan January bardzo zostaje pod wpływem żony; niektórzy utrzymują nawet, że cokolwieczek jej się boi. Żeby się bał - nie myślę, bo przecież majątek do niego należy, a ona ma na nim tylko prawą część i dożywoicie; ten zaś, do kogo majątek należy, jest panem położenia i nikogo bać się nie potrzebuje. Ale trzydzieści lat różnicy w wieku małżonków - to istotnie racja, wytwarzająca pewną, że tak powiem skłonność do ustępstw ze strony tej, na której niekorzystnie różnica ta wypada. Bo to i energii mniej znajduje się po tej stronie, i zawsze jakiegoś mimowolne poczucie się do winy, czy do niższości. Więco też i w tym małżeństwie, jeżeli kto ustępuje przed kim, to on przed nią, jeżeli kto znosi cokolwiek od kogo, to on od niej. Tak się już z tym pani Januarowa urządziła, a przecież każdy przyzna, że największą mądrość człowieka polega na takim urządzeniu się, aby o ile podobna najmniej znosić...

... Kiedy przed ożenieniem się pan January prosił narzeczoną, aby zgodziła się na pozostawienie panny Róży w przyszłym swym domu, bo jest krewną jego i zupełnie ubogą, a w domu tym wyhodowaną, teraz zaś dzieci jego, osieroczone po matce, hodującą - panna Iza chętnie na prośbę tę przystała, mojej siostrze zaś, z którą była i jest w wielkiej przyjaźni, zwierzyła się potem:

- A cóż mi to szkodzi, że ta stara panna będzie w domu? Owasem, zajmie się gospodarstwem i mnie przynajmniej nudne kłopoty z głowy zdejmie. Przy tym, te dwie dziewczyny... ohłopak nie tyle, bo większy, ale te dwie dziewczyny jeszcze małe mogłyby mi nieraz kością w gardle stanąć. Niech tam ona dogląda ich i różnych tam potrzeb ich pilnuje. Owszem, niech zostanie w domu; jeszcze jej pensję jaką wyznoszę.

Ale panna Róża chciała z początku inaczej trochę stosunek swój do pani domu zrozumieć. Gospodarstwem i młodą dziećmi zajmować się - 135

pozwolenie, pragnęła. Pensyjkę przyjęła także, bo i dawniej nieco nawet większą za te same czynności od krewnych otrzymywała. Tylko, że oprócz pracy z jednej strony, a pensji z drugiej, coś innego ohodziło jej po głowie. Wiem o tym wszystkim szczegółowo od siostry mojej, a powiernicy pani Januarowej. Otóż niebawem po przybyciu do Dworków młodej pani panna Róża przyklękała u jej kolan i zaproponowała, aby były, to jest, aby ona i pani Januarowa były sobie siostrami. Mówiła przy tym o swoim przywiązaniu do pana Januarowego, do domu, do dzieci, i o tym, że żonę jedynego krewnego swego gotową jest pokochać jak siostrę. Pani Januarowa zaś, z odznaczającym ją zazwyczaj rozsądkiem, odpowiedziała:

- Moja panno Różo, ja mam dwie siostry, i nie powiem, abyśmy razem, u papy będąc, bardzo sobie życie nawzajem uprzyjemniały! Ja pannę Różę szanuję, i w domu moim pani mieć będzie wszelkie wygody, ale próżnych słów nie lubię. Kochanie! siostry! pocóż to mówić, skoro my z panną Różą ani kochać się nie potrzebujemy, ani siostrami nie jesteśmy. Najlepiej żyć bez fikcyj!

Kiedy projekt zsiostżenia się w ten sposób upadł, panna Róża w jakiś czas potem poprosiła, aby pani Januarowa ją nazywała i siebie nazywał pozwoliła po imieniu:

- Te wieczne tytuły, takie chłodne!... Mów mi: Różiu, ja będę mówiła: Izo. To cieplejsze i zbliża.

- Dobrze - odpowiedziała pani Iza. - Mnie wprawdzie nie zimno, i nie wiem, co od tego zależy, czy kto kogo tak albo inaczej nazywa. Ale jeśli to panno Róży zrobi przyjemność...

A przy najbliższej sposobności przemówiła po dawnemu: "Panno Różo!". Ta zrozumiała i nigdy już więcej tego przedmiotu nie dotknęła.

Jednak takie stworzenia cichutkie i bledziutki bywają czasem bardzo uparte: coś w nich siedzi, jakaś nie wyekspansowana sympatia czy imma fikcja w tym rodzaju, i wiecznie pobudza do prób, które się też wiecznie nie udają. Tak i ta panna Róża, nie zrażona kolejnym upadaniem swoich projektów, jeszcze przez czas jakiś próbowała młoda panią domu wziąć na czułość; do tytułu pani dodawała przymiotniki takie, jak: droga, kochana, złota, jedyna, dogadzała jej jak małemu dziecku albo staruszce, uwielbiała jej młodość, świeżość, urodę i ten zdrowy rozsądek, od którego sama o sto mil z okładem oddalona była. Pani Januarowa przysługi i uwielbienia przyjmowała jako rzecz zupełnie sobie przynależną, przymiotniki towarzyszące tytułowi pani pobłażliwie znosiła, lecz dalej na tej drodze zachodzić nie miała zamiaru, ani chęci. Toteż, ilekroć panna Róża w jakiejś żywszy i wyraźniejszy sposób dążenia swe do wymarzonego zbliżenia objawiła, tylekroć pani Januarowa powstrzymywała ją słowami:

- Dobrze, dobrze, moja panno Różo, tylko bez tych fikcyj.

Nigdy nie nabyłem pewności, czy pod tym ostatnim wyrazem pani Iza rozumiała zmyślenie czyli obłudę, albo obłąkanie czyli fiksjację; wymawiała go zresztą zawsze z chwilową zmarszczką na białym czole, i z lekkiem wykrzywieniem koralowej wargi, które razem wzięte stanowiły tak zwany grymasik, bardzo ładny, i z którym jej było do twarzy. Wolno przecież każdej ładnej kobiecie robić grymasiki, z którymi jej do

twarzy! Ale na pannę Różę wszystko to wywarło wkrótce wpływ stanowczo zabijający złudzenia: ochłodziła i ucichła - bardzo ucichła, tym bardziej, że i pan Januarowy, który dawniej gawędził z nią czasem i przyjaźni jej okazywał, teraz zajęty młodą żoną i ociągłymi gośćmi, prawie przestał do niej mówić, stopniowo prawie przestał ją widzieć. Z początku to jeszcze, dawnemu przyzwyczajeniu wierny, niekiedy przysiadł się do niej, albo na "dzień dobry" i "dobranoc" w rękę ją całował; ale pani Iza, cichutko i ze swoim ładnym grymasikiem, zaraz go przestrzegła:

- Mój Janusiu, tylko bez tych fikcyj!

Czasem mawiała: bez tych czułości! Więc wystrzeżać się zaczął, rychło dawne przyzwyczajenie utracił i do panny Róży odzywał się tylko w razie jakiejś potrzeby gospodarskiej - krótko, sucho, zwyozajnie, jak do osoby, która pełni w domu jakąś czynność, ale sama przez się zupełnie nic nie znaoczy.

Więc panna Róża ucichła, ale tak doskonale, że choć często bywałem w domu szanownych państwa Januarostwa, nie pamiętam, czy przez ostatnie kilka lat dwa razy głos jej usłyszałem. I trudno, zaprawdę, było, aby mówiła, kiedy nikt do niej nie mówił. Jednakże dom w Dworkach jest z całego sąsiedztwa najbardziej ożywionym. Czemużby nie? Pokoje duże i ładnie umeblowane, jest więc czym oddychać i na czym wygodnie siedzieć; przyjęcie zawsze wyśmienite, bo i stać na to, i sam pan January zna się na kuchni jak rzadko kto; gosposia młoda, hoża, pasjami lubiąca grać w winta...

... Wszyscy, ilu nas tam bywało, z wyjątkiem pana Dorszy, lubiliśmy go bardzo, ale pani Januarowa najbardziej; bo kobieta zawsze gdy co lubi, albo czego nie lubi, to już nie żartem. Sioststra moja, Idalcia, raz, śmiejąc się, powiedziała:

- Ten wint, to kochanek Izy!

I prawdę powiedziała. Nie ma na świecie człowieka, któryby nie potrzebował wyekspansować na jakikolwiek przedmiot swojej energii i uczuć, a pani Januarowa, nie ekspansując ich wiele na nic i na nikogo... Chociaż, gdyby ten najzamożniejszy pan Dorsza przy całym rozumie swoim nie był głupi, to może... Ale o tym potem. Dość, że nasza kochana i miła gosposia w Dworkach naprawdę nie była wcale gosposią. W pokoju panny Róży stała na komodzie skrzynka pełna kluczyków, na stole leżały rachunkowe książki. Często w czasie rozmowy albo i gry w karty zdarzyło się wypadkiem spojrzeć przez okno. Deszcz, szaruga, błocko, albo śnieg, mróz, zawierucha taka, że całe powietrze szumi, wyje i świszocze: a kobiecina wążka, w szarej sukni, w watomowanym kaftanie, biegnie przez dziedziniec do śpichrza, pralni, piekarni, mleczarni, do oficyny z kuchnią i do tej, w której się znajdują pokoje dla gości. Za nią ślad w ślad czasem kucharz z rondlami, czasem pracznica z koszem pełnym bielizny, czasem inni służący rozmaici. Raz, widząc ją biegnącą tak po śniegu, zauważyłem, że przy czarnym kaftaniku ma coś mocno różowego. Aż tu i ktoś inny, przez okno patrzący, spostrzeżenie wyraził:

- Czy to panna Róża dwa różowe tulipany ze śniegu wyrwała i niesie?

Młodsza z domowych panienek, blondyneczka Marynia, śmiałym głosiłkiem objaśniła:

- Ej, nie, to u cioci rękawie takie ozierwone od 136 chłodu. Biedna ciocia!

A nasza kochana pani Januarowa, która właśnie w tej chwili na zielonym stoliku koronkę rozkładała, rozmowę tę usłyszawszy, rzuciła spojrzenie na swoją rączkę dość dużą, lecz jak mleko bieluchną, jak pączek tłusciuchną, pierścienkami świecąca, prawdziwie apetyczną rączkę dobrze wykamionego leniuszka.

Przed wszystkimi, tak licznymi w tym gościnnym domu zasiadywaniami do stołu, panna Róża uśmiecha się po jadalni, dozoruje nakrycia, dyryguje lokajami, co moment na zegarek patrzy. Toteż gdy, z panią domu na ozelo, goście wchodzi do obszernej i wylegantowanej sali, na stół nakryty aż miło spojrzeć: takie na nim wszystko porządne, staranne, przyozdobione, wylegantowane. Najemne ręce nigdyby tego nie dokazały, aby codziennie i tyle razy na dzień tworzyć takie arcydzieła porządku i dobrego gustu. Twórczyni zaś tych arcydzieł siedzi sobie cichuteńko przy samym końcu stołu i milczy jak ryba. Gwarzymy, bywało, wszyscy; śmiejemy się; sąjadając i popijając smaczne rzeczy, wpadamy w złote humory: a ona je tyle, co ptaszek, dziśobnie czasem coś z talerza i zaraz sztucze odkłada, a oczami albo ręką lokajów śledzi, albo przekonawczy się, że usługa idzie jak najlepiej, utkwili je w talerz i siedzi zamysłona, jakby wcale do tego świata nie należała. A właśnie wtedy werok mój, nie wiem jaką siłą pociągany, nieraz zwracał się ku niej. Czy żał mi jej było? Czy ciekawość mię brała, co też ta kobieta ozuła i myśleć może? Czy przypominał mi się jej dawny narzeczony, ten przystojny, miły, majątny Broniek? Lecz nieznamnie przyspatrywałem się gładkim pasmom czarnych włosów, które ocieniały jej czoło, zawsze nieco pochylone i jak pajęczyna, drobnymi zmarszczkami osnute, a w delikatnym owalu policzków, w długości opadających na nie rzęs czarnych, w zarysie warg o cierpliwie zamkniętych, dostrzegałem widoczne jeszcze przetrwałości dawnej urody. Gdyby ją tak ktokolwiek odhuchał, rozweselił, uleczył, ładnie ubrał, jeszcze by niejedna o wiele młodszą schowacby się przed nią mogła. Tymczasem jednak coraz więcej chudła i żółkła; a ponieważ nasza pani Januarowa coraz większą nieżyczliwość jej okazywała, więc dla wszystkich stawała się coraz mniej dostrzegalna, aż na koniec ja jeden tylko spostrzegałem jeszcze, że żyje na świecie, i to ukradkiem.

Nikt oprócz mnie i mojej siostry, Idaloi, nie wiedział o przyczynie nieżyczliwości, która dla tej nic nie znaczącej osóbki powstała w sercu poważnie szanowanej i kochanej pani domu. Otóż przede wszystkim powiedzieć muszę, że okolica nasza, dzięki zbiegowi pomyślnych okoliczności, jest dotąd wyjątkowo bogata w obywatelstwo wiejskie zamężne i posiadające mństwo zalet towarzyskich i innych. Ale jak topól włoska nad wysokie nawet lipy i klony, tak nad sąsiadów swoich wysoko w górę wystrzeliwa pan Seweryn Dorsza; bo o czym tylko zamarzył, znajduje się w tym człowieku: piękność postawy i twarzy, inteligencja wyższa, kryształowa, prośbę państwa, uczciwość i zacność, a do tego duży, formalnie już pański, majątek. Z blasku :zarnego oka i z gniadej oery niktby w nim pięć-

dziesiątki nadchodzącej, albo już i nadeszłej, nie odgadł; a choć siwizna srebrzy się gdzie niedzie we włosach kruczych, i naczole zebrało się trochę zmarszczek, kobiety utrzymują, że im to tylko uroku dodaje, świadcząc o wielu myślach pracujących w tej pięknej głowie i o cierpliwości, które przebyć musiała, lecz pod nimi się nie ugięła, ta silna postać męska. W domu swoim pan Dorsza posiada bibliotekę, obrazy, różne inne drogocenne i rzadkie rzeczy; w majątkach gospodaruje znakomicie, a sąsiadom służy wszystkim, co ma: radami, książkami, pieniężnymi pożyczkami itd. Sąsiedzi w zamian szanują go bardzo, ale żeby bardzo kochali, to nie powiem. Bo kto do sero ludzkich rzeka Cnotą pdyńnie, nie dopdyńnie. Prosta do nich droga i najpewniejsza na gospodę Wesołość i na wielkie miasto Pospolitość. Przy tym różnice gustów bardzo często miłości na przeszkodzie stoją. Pan Dorsza wiele rzeczy, które sąsiedzi jego lubią, nie lubi, i odwrotnie. Sztywny nieco, zawsze czymś bardzo zajęty, rzadko z kim zaprzyjaźnia się i spoufala. Więc jednych onieśmiela, innych nudzi, innym jeszcze w zabawie przeszkadza. Jednak pomimo to nikt nigdy złego słowa o nim nie odważył się powiedzieć, a znajomość z nim wszyscy poczytują sobie za zaszczyt - to raz, a po wtóre za źródło ratunku w złej przygodzie.

W Dworckach pan Seweryn bywał nie często, i zachowanie się jego w tym poważnie lubianym i poważanym domu było dość niezwykłe. O ile my wszyscy admiirowaliśmy panią Januarową za jej okazałą figurę, świeżą ocerę, mądry sprycik i wyborne granie w winta, o tyle on okazywał się dla niej zupełnie obojętnym. Grzeczność wszelką zachowywał, naturalnie, ale więcej nic a nic. Rozmawiał z nią jak najmniej i bez upodobania, a co już nam w głowach pomieścić się nie mogło, to, że witając się z nią i żegnając, w rączkę jej nie całował. Weźmie, bywało, tę bieluchną i tłusciuchną rączkę i ledwie dotknawszy, wypuścił ze swej ręki. A ona aż drży z chęci, aby surowe jego usta pocałunek na niej słożyły - może dlatego właśnie, że surowe i do pocałunków nieskłonnie.

Razu jednego siadaliśmy do obiadu, gdy przed ganicem zatrzymał się powóz pana Dorszy. Patrzę ja, a nasza pani Januarowa oblewa się takim rumieńcem, jakby kto garnek kipiátku na nią wylał; aż czoło, uszy i szyja stanęły w ogniu. Wnet przecieć to minęło, i gdy szanowny sąsiad, zaproszony do stołu, naprzeciw niej miejsce zajął, siedziała jakoś taka onieśmielona, milcząca, imna niż zwykle, jakby nam ją kto odmiemił. Przez cały obiad ani razu, mówiąc, dumnie główek w tył nie odrzuciła, ani jednego żadnego grymasiku nie zrobiła, żadnej przestrogi mężowi nie udzieliła; bo zazwyczaj przestrzegała go z oicha, ale często. Gdy puszczał się z kimś w niezwykłą serdeczność, szeptała: "Janusiu, bez tych fikcyj!" albo: "Bez tych czułości!". Gdy chciał nożem dopomóc sobie w jedzeniu, prawie do ucha mu mawiła: "Janusiu, bez noża!", gdy nad podawanymi potrawami zaczynał czynić dodatnie albo ujemne uwagi, prosiła: "Janusiu, nie przy gościach!". A w obecności pana Dorszy nic: ani dumy, ani grymasików, ani przestrogi mężowi, ani przekomarzenia się z biesiadnikami - o sposób, w jaki dziś który w

winta zagrał; o to, czy ten w tamtej, a tamta w tym kocha się albo nie kocha; o to, czy sąsiadka, o której mowa, ubiera się jak księżna, czy jak koczokodan. Milozy, oczki spuszcza i - patrzcie państwo! - raptem o książkach mówić zaczyna, Głupstwa plecie, jednak plecie, bo wie, że pan Dorsza literat wielki, więc choć małą literatką okazać się pragnie. Po obiedzie w winta grać nie chce; męża do kart sadza, a sama z panem Dorzą rozmawia. Trzeba przecież, aby ktokolwiek z godpodarzy zabawił gościa, który sam jeden z całego towarzystwa w karty nie gra. No, myślę sobie, jeżeli nasza pani Januarowa partyjki się wyrzeka, to już chyba... Ale, oóż dziwnego? Pan Januar, gdy przed panem Sewerynem stanie, to jakby krzak jałowcu przed silnym dębem siadł. A zresztą któż zgadnie, co czasem jednego oszłowieka ku drugiemu poślagnie? Błysk oka, czy kształt postaci? Dźwięk głosu, czy zwa zwyczajnych osłon wyraźniejsze mrugnięcie duszy? Dość, że Idalocia znalazła raz w ogrodzie tę naszą biedną panią Januarową całą we łzach, Mądra, zdaje się, kobiecina, a przyszła i na nią kolej głupoty ludzkiej. Nie zważa na to, że żyzy piękności szkodzą i płacze!

- Czemu ja jego - mówi - przed wyjściem za Januarego nie poznałam. Czego ja tak śpieszyłam się z wyjściem za męża! Gdybym pooskała, spotkalibyśmy się wolni oboje!

Ani wątpiła, że gdyby nie była mężatką, onby ją pokochał i wziął za żonę. Pod względem podobania się mięczyzynom była bardzo pewną siebie i w znacznej mierze miała słusność, bo takie jak ona niewiasty największy urok na płeć męską wywierają. Odalisy!

- On taki srogi - powiada dalej - nigdy nie zechce okazać, że zakochał się w mężatce!

Mniemała, że pan Seweryn przez surowość zasad tai się z miłością dla niej, i ta właśnie, jak mówiła, srogość, była dla jej śniegów słońcem roztopiającym.

- Bo co mi tam z tych głamazarników, którzy przede mną skaczą jak wróble na sznurkach! Mam i bez nich jednego już takiego! Ten - to mężczyzna!

Nie każdy wie, ile różnostronnej, szczerej prawdy, naturalnej wyższej miłości się w takim wykrzykniku kobiety: "Ten - to mężczyzna!"

Nakoniec, ni ztąd ni zowąd, przyczepiła się do panny Róży.

- Wiesz, Idalko, - zwierzała się przed swoją siostrą, - to ta flondra ogaduje mnie przed nim, jestem pewna, że ogaduje - i srała go do mnie!

Wyrażenie było niezbyt wykwintne, ale w rozmowach poufnych pani Iza dość często podobnych używała. Idalka we flondrze domyśliła się panny Róży.

- Kiedyżby miała osas na ogadywanie? - zaprzeczyła próbowała - zawsze tak krótko z sobą rozmawiają.

- Jednak rozmawiają! Ile razy przyjedzie, zawsze z nią choć trochę porozmawiać musi i - czy uważałaś? - przy powitaniu i pożegnaniu w rękę całuje ją zawsze! U stołu też ciągle zwraca się do niej. Jakież takie uszanowanie nadzwyczajne ma dla niej i więcej niż uszanowanie, wprost sympatię. I za co tej starej pannie takie uszanowanie okazywać? Jakim sposobem dla takiej zmokłej kury można mieć sympatię?

- Oóż dziwnego, moja Iziul znają się od bardzo dawna!

Pani Januarowa aż piastki ścisnęła z oburzenia.

- Głupstwa pleciesz, moja Idalociu! Znają się! Pomiędzy oszłowiekiem z takim stanowiskiem, jak on, a taką panną, jak ona, nie może być żadnej prawdziwej znajomości. Głową kiwnąć to już musi, bo przecież i ona jest niby to kobietą, ale zresztą i spojrzeć mi na nią nie warto!

Spoglądał jednak i czasem, gdy oczy jego, pomimo nie pierwszej młodości pełne blasku i głębi, spoczywały na delikatnym owalu jej twarzy, któremu gładkie pasma osarynych włosów dodawały jeszcze bladeści i oiszy, ukazywały się w nich wyraz medytacji, pełnej dobroci, litości i smutku.

Raz w ozasie bytności pana Dorszy w Dworkach, pani Januarowa, wbrew zwyczajowi swemu, w obecności jego do kart zasiadła. Tak się jakoś złożyło, że musiała to czynić. Geść nie grający w karty rozmawiał z młodziutkim synem pana Januarego i młodszą z dwóch córek, bo starsza już od razu z upodobaniem grywała w winta. Po, upływie jakiegoś kwadransu pani Januarowa niespokojnie obejrzała się po salonie i siedzącego przy oknie pasierba z żywością zapytała:

- A gdzie pan Dorsza?

Student spojrział w okno i odpowiedział:

- Z ciocią Różą w kasztanowej alei chodzi i rozmawia.

Było to na wiosnę. Kwietniowe słońce osuszyło ziemię, trawy zieloną, szczerką dobywały się na całej przestrzeni ogrodu, którego wspaniałe aleje zaczęły zielenić się od rozwierających się pąków i młodych listków. Przy pierwszej sposobności sblizyłem się do okna i zobaczyłem istotnie parę ludzi przechadzających się po jednej z alei. Z powodu odległości nie dostrzegłem ani gestów ich, ani wyrazu twarzy, tylko za bladezieloną koronką gałęzi widziałem, jak obok wysokiej, silnej postaci pana Seweryna na kształt wątlęgo cienia, przesuwała się szara sukienka panny Róży.

Pani Januarowa odezwała się do męża:

- Janusiu, zadzwoni!

A do lokaja, który dzwonkiem przywołany, wazedł natychmiast, rzekła:

- Powiedz pannie Róży, żeby kazała podwieczorek podawać.

Zwykła podwieczorkowa pora jeszcze nie była nadeszła, ale gościnnie pani domu zatroszczyła się widać, aby goście nie uozuli się głodnym. Niebawem też do salonu wazedł pan Seweryn, trochę ohmurny, a jednocześnie powóz jego zajechał przed okna domu.

- Pan już odjeżdża! - zawołała pani Januarowa, widocznie zalterowana.

Pomimo prób obojga gospodarstwa domu, na podwieczorku nawet nie oboiał pozostać i - odjechał. Nie byłoż widocznym, że przyjechał tylko dlatego, aby z tą starą panną o ozymś pomówić? Ona zaś, gdyśmy do sali jadalnej weszli, kończyła coś na stole ustawiać; spostrzegłem, że szczupłe ręce jej drżały, i na bledych policzkach miała słabe rumieńce. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu oczu pani Januarowej, gdy ogarniała spojrzeniem tę pochyłą nad stołem głowę. Żarzyły się te błękitne i zazwyczaj trochę senne oczy, piekły, gryzły, nienawidziły. Przedtem

138 już, w drzwiach jadalni, szepnęła Idaloc:

- Pan Doraza ściągnie sobie przyjaciółkę dobra! Bardzo stosowna para! Sympatia umieszczona bardzo właściwie i ... szczęśliwie!

Siadając do stołu, głośno odezwała się do męża:

- Janusiu, wiesz o nowinie? Pan Seweryn Doraza oświadczył się dziś o rękę panny Róży!

Nasz poczciwy pan January wytrzeszczył zrazu swoje wypukłe, spłowieżałe oczy; lecz choć zasłużył się żonie, od dość dawna nadąsanej i dla niego zubożniejszej, w ton jej uderzył.

- A, wiesz! - w sposób żartobliwy mówił zaczął - wiesz! kuzynce! Bardzo rad jestem! Narzecz! No, już i pora! Kiedyż wesela?

Jakby na dane hasło, zewsząd posypały się żarty. Zygmunt przyskoczył i pieszczotliwie pannę Różę obejmując, wołał:

- Zatańczy ciocia ze mną na swoim weselu walczyka? A może teraz spróbujemy... dla wprawy!

Starasa z panienką śmiała się:

- Ciotka nam młodym świetną partię odbiera! Siostra pani Januarowej, niezła nawet kobieci- na, ale zawsze czegoś dla siebie i młóstwa dzieci swoich od Izzi potrzebująca, z ośmiutkiem śmiechkiem wołała:

- No, panienki, nie desperujcie nigdy! Widzicie, że i do stu lat nie trzeba jeszcze tracić nadziei!

A mąż jej grubym basem i ohydą francuszoszyna हुआ:

- Mie wo tard ke žame! Szakim truf son szakem!

Pan January, ucieszony uśmiechem żony, która zanosiła się od śmiechu, trochę gapiowato, bo bez rzeczywistej ochoty zapytywał:

- Jakże to było? Jakże to było?

- Jak to było? - powtórzyła pani Januarowa i ściągniętymi rączkami odpowiednio gesty robiąc, prawiła:

- Poetycznie, idealnie... o zachodzie słońca, w kasztanowej alei... pomiędzy młodymi listkami przechadzała się młoda para...

- Młoda, to prawda! Il fo ke la ženes se pas!

- Żeby tylko od tego wieczorowego spaceru katarów nie podostawali!

- Fi! katar i miłość! Niedobrana para!

- I pomiędzy ludźmi bywają pary niedobrane!

Jak Boga kocham, ani ja, ani siostra moja Idalcia nie należeliśmy do tego chóru. Co za ochota ni z tego ni z owego tak na kogoś napadać! Przy tym widziałem dobrze, jak panna Róża przy pierwszym odeswaniu się pani Januarowej podniosła na nią oczy ogromnie przelęknione. Nie rozumiałem, co mogło być przyczyną tak silnego przestraszenia, ale jakoś żał mi się zrobiło. Potem, gdy przekonała się, że są to jedynie żarty, oczyma tylko spod długiej rzęsy błysnęła, zarumieniła się bardzo mocno i wnet uspokojona poczęła układać w koszyku ciastka, które Zygmunt, do tańca ją niby porywając, rozsypał. W tym błysku oka i w tym rumieńcu wystrzelił na świat gniew, lecz, wnet powściągnięty, mknął, zostawiając tylko po sobie na spokojnie zamkniętych ustach uśmiech bardzo zagadkowy. Można by mniemać, że śmiała się w duchu z tych, którzy się z niej wyśmiewali, jednak zarazem i ocierpiała. Powieki jej drgały, jak bywa zawsze, gdy ktoś z całej siły powstrzymuje się od płaczu.

- Czy widzą państwo, jaka kuma na niebie? Pożar, czy co! - zawołał, wskazując na okno.

Idalcia zrozumiała mój zamiar i do okna skoczyła.

- Czy nie Keziółki panu palą się, panie January?

Oboje państwo Januarostwo byli już u okna. Keziółki były ich folwarkiem, o parę wiorst od Dworców odległym. Powstało zamieszanie, przyglądanie się niebu, sprzeczka i ostatecznie przeświadczenie, że kuma którą wziąłem za odblask pożaru, była tylko wyjątkowo ognistym odblaskiem zachodu słońca.

Żarty sypnęły się z kolei na mnie. Wogóle w Dworcach panowało upodobanie, czy moda, wybierania kogokolwiek z obecnych za cel żartów. Tego lub owego, tę lub ową przesładowano to zakochaniem się, to niemiędotnym granicem w winta, to młodością, to starością, to słymymi interesami majątkowymi, albo sercowymi niepowodzeniami. Dowcipy strzelały jak rakiety, śmiechy toczyły się jak gany. Paojenci, choć nie choć, śmiali się wreszcie z innymi, oczyma i myślą poszukując wśród otaczających, kogoby tu co najprędzej na następcę swego wykiepować. I nic dziwnego. Dobrobył, panie mój dobrodzieju, kompletny, czasu wolnego właściciel tyle, ile go od rana do nocy upływa, i towarzystwo domowe, oprócz gości prawie ciągłych, dość liczne.



Zygmunt był ładnym, zgrabnym chłopakiem, trochę zanadto przez ojca i matkę rozpieszczonym, bo pani Januarowa przed innymi dziećmi go faworyzowała i z jego przyczyny wpadała nawet czasem w fikcję, czy w czułość. Nie należy jednak przypuszczać, aby tu było coś podobnego do historii Fedry i Hipolita. Broń Boże! Nasza pani Januarowa była zbyt rozsądną, aby aż takie awantury greckie wyprawiać. Tylko miała do Zygmunta słabość, a kiedy kobieta ma do kogoś słabość, to, panie dobrodzieju, zwiań chorągiewkę z zapytaniem: a za co? a dlaczego? a do czego to dąży? itd. Ma słabość i kwita: więc pieści, lula, czym tylko może, osypuje, wychwala, a jak ostatecznie gagatek na tym wyjdzie, głowy sobie tym nie zawraca. Co się tyczy pedagogiki, to można powiedzieć, że naszej kochanej pani Januarowej ona w głowie nawet nie powstała; więc wciąż dudniła mężowi nad uchem: "Daj Zygmunsiowi pieniędzy! poślij Zygmunsiowi więcej pieniędzy!" a gdy uczeń, potem student, do domu przyjeżdżał, wymyślała dla niego różne przysmażki, zabawki, siurpryzki. Zygmunt zaś, jak każdy grzeszny człowiek, smaczne kąski życia z natury już lubiący, przy tym żywy, wrażliwy, umięgalski, do nauk zdolny, lecz i do zabawy skory, pełnymi nozdrzami wciągał w siebie rozkoszną atmosferę domową i wyjeżdżając do szkół, potem do uniwersytetu, brał z sobą tak znaczną jej zapas, że czym innym żywić się ochoty mu już nie stawało. Otóż, w gruncie rzeczy, nie można powiedzieć, aby ten miły pustak nie lubił panny Róży, która go w czasie wdowieństwa pana Januarowego i potem jeszcze hodowała i pieściła. Owszem, podbieżył czasem do niej, pieszczotliwie w oczy spojrzył, kilka słów uprzejmych przemówił; tylko że w dłuższe rozmowy z nią to się nie wdaje, bo matucha nie lubiłaby tego; i jakąż przyjemność takiemu młodzieńcowi rozmowa z taką starą panną sprawiłaby

mogła? Raz, kwiatek jakiś, który w rękę trzymał, do szarego stanika jej przypiął i wychwalać zaczął, że barizo jej z kwiatkiem tym do twarzy. Wasysoy w śmiech! Naturalnie, bo czyż jej ookołwiak mogło już być do twarzy! Innym razem, gdy zajęta zarządzaniem sałaty, stała plecami do całego towarzystwa obrócona, zakradł się i zręcznie parę szpilek z włosów jej wyciągnął. Wtedy stało się coś osobliwego. Cudne to były włosy. Gdzieniegdzie wiła się w nich nic srebrna, zresztą czarne jak atrament, gęste i bardzo długie, rozsypały się po plecach, spadły poniżej kolan i całą tę watażę, szarą postać okryły lśniącym płaszczem atłasowym. Posiadaczka tych cudów obejrzała się zrazu z przestraszeniem, potem błysk gniewu przemknął po ciemnych źrenicach i zaraz zgasł, rumieniec wytrącił na ohude policzki i zaraz zniknął; pośpiesznym ruchem w obie strony włosy zgarnęła, z tyłu głowy w węzeł skręciła, szpilkami, które Zygmunt jej zwrócił, przypięła i ze spokojnie pochyloną głową sałatę przyprawiać kończyła. A dokoła stołu śmiech ogólny.

- Jezus Maria, żeby aż tyle włosów na głowie nosić! Czyż to warto, kiedy ich nikt nie widzi?

Istotnie, nikomu dotąd do głowy nie przyszło zwrócić uwagę na to, jakie panna Róża ma włosy.

- Po co cioci takie włosy? - szczebiotała starsza z panienek, panna Kamila - Niech ciocia mnie je odda: to przynajmniej zdadzą się na cokolwiek!

- Chętnie, moja Kamilko, uczyniłabym to, gdybym mogła - obojętnie odpowiedziała panna Róża, siadając na swoim ostatnim miejscu przy stole.

- O, co w to, to nigdy nie uwierzę! - zawołała pani Januarowa. - Nikt nie rozstaje się chętnie z pamiątkami dawnych czasów!

A szwagier, nasz dowcipny i zarówno wesoły pan Faustyn, figlarnie ku pannie Róży mrugając i znacząco chrząkając, podjął:

- Chyba ktośś... ktośś... hm, hm, oo to ja wiem, a panna Róża rozumie, długich włosów u kobiet nie lubi. W takim razie trzeba je ostrzywo, trzeba, bo lepiej mieć pięknego męża, niż piękne włosy.

Ten sam pan, nienajgorszy człeczyna, tylko taki sobie totumfacki, który, często na dworze królowej-siostry przebywając i od szwagra pożyczek pieniężnych potrzebując, rad był choć facecjami wywdzięczyc się dobrodziejom, gdy wasysoy przy stole siedzieli, przyszedł z ogrodu z przekwitłą, na wpół już z liści opadłą różą w palcach. W granatowej marynarce i w białym muślinowym halsztuchu, trochę siwy, trochę łysy, z okrągłą twarzą, mocno od upału zaczerwienioną, przeszedł wzdłuż całą salę jadalną razem ze zwiędłym, żółkłym kwiatem i przed talerzem panny Róży w szklance umieścił. Przy tym, z pocieszonym dygiem i umizgiem, rzekł:

- Ski se resampl, s'asampl!

Wasysoy w śmiech! W jej źrenicach znowu błysk nadziei, szybko pod spuszczone powiekami ukryty.

Z grzecznością kobiety, przyjmującej od mężczyzny drobną przysługę, odpowiedziała:

- Dziękuję panu.

Dokoła znów śmiech.

Żeby tak bardzo było za co dziękować, to nie powiem!

- Jeżeli ciocia życzy sobie, to ja po obiedzie cały bukiet takich kwiatów cioci przyniosę!

- Przynies i postaw przed portretem Mickiewicza. 140

- Albo lepiej przed szafką z książkami!

Portret, jak portret, uchodził jeszcze, bo, pomimo rozsądnej atmosfery dom ten napełniającej, tak wielkiego imienia do żartów używać nikt nie miał ochoty, ani może śmiałości; lecz szafka z książkami dawała temat do wielu facecjoj. Powiadano, że była wypohana poezjami, na cały pokój pachnącymi.

- Wchodzę do pokoju panny Róży, - opowiada pani Januarowa, - cościć pachnie! Co to? Konwalia, mirt, ananas...

- Tymianek, lilia, hiacynty - podpowiada ktoś bielejszy w nomenklaturze botanicznej.

- Jakiś bardzo staroświecki zapach! Coby to mogło być? Szukam i przekonywam się, że to przez szczeliny szafki tak pachnie - poezja!

Czasem zapytywano pannę Różę, czy dlatego ma zaczerwienione oczy, że późno w noc czytała poezje? Ilekroć pani Januarowa uoszuła się niezadowoloną z jakiego szczegółu gospodarackiego, ze wzruszeniem ramion i swoim żadnym grymasikiem mawiała:

- To poezje temu winne!

Raz nawet pan January, rozgniewawszy się za niedość dobrze przyrządzony pasztet do śniadania, ze spojrzeniem rzuconym w stronę panny Róży krzyknął:

- A wszystko to z powodu poezyj!

Raz też z powodu tych poezyj zaszła scena, o której wspominając, rumienię się, nie na twarzy prosić państwa, ale w duszy. Było tak. W Dworakach oprócz domowego towarzystwa znajdowały się tylko cztery przyjezdne osoby: siostra pani Januarowej z mężem i ja z Idalcją. Byliśmy więc w swoim kółku i zauważyliśmy, że nasza kochana pani Januarowa czuje się jakoś bardzo niedobrze. Nie żeby była- broń Boże - chorą; owzem, nigdy zdrowiej i świeżej nie wyglądała; ale jakaś irytacja, zły humor, nieukontentowanie ze wszystkich i ze wszystkiego. Męża raz po raz przestrzegała, na pasierbicę to już wprost oo moment fukała; w winta grała jak najgorzej i za własne omyłki mnie biednemu parę razy porządnie głowę zmyła. Gdyby nie uszanowanie należne dla damy z takim stanowiskiem w świecie, tak ładnej i gościnnej, powiedziałbym, że była wściekła. Mój Boże! Taka ładna, majątna, rozsądna kobieta i - wściekłość! To, po prostu, zepsuta linia! Szkoda, ale cóż robić, skoro doskonale prostych linii pomiędzy ludźmi znaleźć nie podobna. Sciana będzie prosta, drzewo czasem będzie prostym, drożyna w ogrodzie, gdy ją ogrodnik pod sznur wytnie, prościutko przetrznie murawę. A człowiek - nie! Żeby tam nie wiem jak był rozsądny, zastanawiający się, unikający fikcyj, zawsze znaleźć się musi ooś takiego, oo jego linię w jedną lub drugą stronę wykrzywi. A najwięcej namiętność, najwięcej, panie dobrodzieju, namiętność... Tak i tu było: wbiła sobie kobieta ówiek w głowę, tego pana Seweryna, który jak nie przyjeżdżał, tak nie przyjeżdżał, i drugi jeszcze ten, a to, że panna Róża temu winna, bo ją przed nim ogadała... tam, wtedy, po kasztanowej alei z nim chodząc, ostatecznie ogadała. Przy tym Idalcia szepnęła mi przy sposobności, że Izie ozułości pana Janaurego okropnie się już przykrza.

- Czuli się do mnie coraz więcej - opowiadała powiernicy - a ja o tamtym myślę! Więc mnie wazy-

stkie złości i desperacje ogarniają!

No, naturalnie; ale z drugiej strony było w tym trochę kobiecego marzytelstwa. Czułości przykrzą się? - dobrze; a Dworci z przyległościami? Jakkolwiek bądź, późno w wieczór po wieczery, gdyśmy skończyli ostatniego na dziś roberka, pani Januarowa oddaliła się z salonu i po kilku minutach powróciwszy, cała w ogniu i w śmiechu przed nami stanęła. Śmiała się, a z oczu i nawet ze śmiechu iskry sypać się zdawały.

- Chcecie, państwo, literatkę zobaczyć? Prawdziwą literatkę? Żeby jej nad uchem wystrzelić, nie usłyszysz: taka zaczytana! Dlatego to przekąski dotąd nam nie podano. Komedial! Chodźcie, państwo, chodźcie tylko zobaczyć!

Tak bardzo prosiła, żeśmy wszyscy wstali i poszli. Pan January mruknął tylko zrazu:

- Dajesz pokój tylko! Co tam ciekawego?

Ale ona odpowiedziała:

- Mój Janusiu, tyłkoż bez tych kaprysów!

Więc także wstał i poszedł. Przeszliśmy jadalną salę, inny jesoze pokój, i inny jesoze, aż znaleźliśmy się przed otwartymi drzwiami pokoju panny Róży. - Nie osobliwego. Ściany oklejone patrym obiciem, żółko biało zasłane pod ścianą, akryzka pełna kluczy na komodzie, w kątku oszklona szafka z książkami... ta sławna - i tylko jedna rzecz uderzająca: głęboka cisza. W tym domu gwarnym od rana do wieczora rozlegającym się brzękiem szklki i talerzy, rozmowami, śmiechami, gościnnymi powitaniem, wiatowymi wykrzyknikami, pokój ten wydawał się oazą takiej ciszy, że słychoć było, jak za oknem stara topól w wietrze nocnym ligómi szeleściła. W tej ciszy i w tym szeleście, jak raz na przeciw drzwi, w których stanęła wesoła nasza kompania, wisiał na ścianie sporej wielkości portret Mickiewicza i przy stole, w łagodnym od błękitnawej zasłony świetle lampy, siedziała panna Róża.



Profilem ku nam zwrócona, z łokciem o stół opartym i ozołem trochę na dłoń pochylonym, oczy miała utkwione w leżącej przed nią książce. Drobne jej wargi były spokojnie zamknięte, profil z wypukłością bladej kamei odrzynał się na tle błękitnawego światła, które pogłębiało ozarność włosów i dawało srebrny połysk wijącym się wśród nich białym niciom. Była tak zatopiona w czytaniu, że nadejścia i szepotów naszych zrazu nie usłyszała. Prawda, że szeptałyśmy bardzo po cichu.

- A co? nieprawdaż, że dla malarza model na literatkę?

- I jak! O Bożym świecie, czytając, zapomniała!

- A jakie księżycowe światło u siebie urządza!

- "Już księżycy zaszedł, psy się uspiły"...

- Tylko że "Pilon" to już prawie żaden nie kłanie za borem!

- Kto wie! Ja może coś w tym rodzaju wiem!

- Ciekawość, co ona takiego czyta?

- Pewno coś oszłego!

- "Mario, czy ty mię kochaasz, bo masz taką postać!"...

- A może Darwina o pochodzeniu człowieka od małpy?...

Autorem ostatniego konceptu był szwagier pani Januarowej, która paraknęła śmiechem; ktoś inny zaśmiał się też głośno. Wtedy dopiero panna Róża, jak se snu obudzona, drgnęła, ku nam twarz obróciła, a ujrzawszy trzódkę baranów we drzwiach stłozona, szybko z krzesła powstała.

- Czy czego trzeba?

- Niczego, niczego nam nie trzeba! Jesteśmy tylko zaciekawieni, w czym panna Róża tak głęboko się zaczytuje?

- Czy to "Maria" Malczewskiego?

- A może "Adolf i Maria" czyli dwoje kochanków nad brzegiem Dniestru?"

- Ej, nie! Ciuńszewicz pewno, albo Ówieroakiewiczowa.

- Po co to kuzynka wiecznie w tych książkach siedzi i tylko powód do żartów z siebie daje! - markotnie zagadał pan January.

Wszystko to mówiąc, wtargnęli do pokoju i otoczyli ją ścisłym kołem. My tylko z Idalcją zostaliśmy we drzwiach i najbliższej nas młodsza z panienek, Marynia. Tamci zaś gadali jak najęci:

- Proszę pokazać, co pani ozyta!

- Proszę lepiej trochę nam głośno poczytać!

- Dobry projekt! Niech pani nas zbuduje, panno Różo!

- Albo rozrzewni!...

Ona, zrazu, jak bywało w podobnych wypadkach, oblała się rumieńcem, i błyskawicą strzeliła z oka; lecz zaraz spokojnie wzięła ze stołu otwartą książkę. Tylko na cienkich wargach miała ledwie dostrzeżalny ciekawy uśmiešek, który zauważyłem nieraz, a który zdawał się litościwie drwić z tych, co z niej drwili.

- Aha! przeczyta nam pani stroniczkę o Adolfie i Marii!...

- A może o sztuce mięsa z parmezanem!...

- Niech państwo już cicho będą! Słuchamy!

- Słuchamy! Słuchamy!

Z takim lekkim ukłonem, z jakim zazwyczaj dobrze wychowana kobieta przystaje na objawione jej żądanie, 141 Róża odrzekła:

- Oważem. Jeżeli państwu sprawi to przyjemność, przeczytam.

I głosem zrazu cichym, potem coraz pewniejszym i nabierającym dźwięków wcale miłych i dobitnych, czytała zaczęła:

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny,
Nadzieję kładę; Ty racz o mnie radzić.
Nieprzyjaciel mój, jako lew okrutny,
Szuka mej duszy, aby ją mógł zgładzić...
Z jego paszeczki, jeśli, o mój Boże,
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mnie nie wspomże.

...Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowieka, w Twej stając obronie,
Przed żadną nigdy nie usieknę trwoga,
Bo szczerze serce w Twojej jest zasłonie.
O, sprawiedliwy sędzio, Ty każdego
Sprawnie obdziałasz według zasług jego...

Nie w takim to ja porządku powtarzam, co czytała, i nie wszystko chociaż potem psalms tego próbowałyśmy oboje z Idalcją na pamięć się wyuczyć; ale co pewna, to, że słuchając, staliśmy wszyscy jak głęby, zębami potwierzanymi. - Bo jakże! W pokoju oświecającym tak, że słońce jak za oknem topił szumi, parę gwiazd złotych z ciemności nocnej przez szyby zagłada, że ściany patrzy oblicze Mickiewicza, a w błękitnym świetle kobiecina wąta i delikatna, z wężką czarnych włosów z tyłu głowy, z kładką w obu rękach, coraz śmiałej i piękniej wylewa z białych ust nuty słowika z Czarnolasu... Powiadam państwu, że fetę nam sprawiał Zabełkotaliśmy też oś ni w pięć ni w dziewięć, gdy umilkła, i wynieśliśmy się skomfundowani. Tylko przy ogólnym oddawaniu "dobrej nocy", patrzę ja, co to takiego? Zygmunt i Marynia mają jakieś takie dziwne oczy, omglone i markotne, ni to rozmarzone, ni to zmartwione.

A pan January, tak, aby małżonka nie słyszała, do ucha mi szeptał:

- To ja jej tę książkę na pamiątkę po Bronku oddałem. Zaręczeni byli... a jakże! święta prawda, że byli ze sobą zaręczeni, prawie od dzieciństwa kochali się! Szczęście ją ominęło i potem nigdy się już z żadnym nie spotkała.

Oważem, dowiedzieliśmy się niebawem, że się spotkała, tylko... Ale niechże wszystko po kolei już opowiem!

Po owej rozmowie z panną Różą pod kasztanami pan Seweryn długo do Dworów nie przyjeżdżał. - Wiosna przeszła, lato nastąpiło, Zygmunt od dawna już na wakacje do domu przyjechał, a szanowny sąsiad, tak oczekiwany, przyjeżdżał ani myślał - właśnie może z powodu tego oczekiwanego, bo zbyt do świadomości był i rozumny, aby nie spostrzec w zachowaniu się pani Januarowej tego lub owego szeregów, z którym - srogim, lepiej mówiąc, surowym będąc - nie wiedziałby co czynić. Jednak pewnego dnia, na koniec, przyjechał, i trzeba niezszczęścia, wtedy właśnie, kiedy biedna pani Januarowa była znowu silnie załterowana, tym razem całodzienną nieobecnością w domu panny Róży. Ta z rana jeszcze osnażoną, że do wieczora w domu nie będzie, klucze powierzyła Maryni i gdzieś sobie poszła. Wszyscy pamiętali, że takie całodziennie wyłączenia zdarzają się jej czasem; Marynia utrzymywała, że raz na rok tylko. Rządca powiedział, że spotkał się z panną Różą

u brzegu lasu, w którego głębi znikła mu z oczu, co usłyszałaś, pan January sapnął głośno, chrząknął nieśmiało i do żony rzekł:

- Daj pokój, rybko! ja wiem dokąd ona poszła. Niezdrowa spaceru użyje! Wielka rzecz, że tam raz na rok...

Żona mu przerwała:

- Janusiu, tylko bez tego ujmowania się! Zawase ujmiesz się za nią. Ta kobieta ma szczęście! Wszyscy kochają się w niej, może i ty także. Trzeba tylko było pierwemu serce zbadać, w którą stronę się ciągnie, a ja pewno nie stanęłabym do rywalizacji... z taką! Wiesz, gdzie poszła! I ja też wiem! Osiem lat już jestem w Dworach i co roku tę samą historię słyszę! Głupstwo! Przypomniała sobie babka dziewięć wieców! W jej wieku należałoby już o tych wszystkich fikcjach zapomnieć! Cały Boży dzień dom bez gospodyni, bo przecież Kamilka i Marynia nie będą po kuchniach i spiżarniach latać, żeby jeszcze ludzie powiedzieli, że macocha je na dziewki folwaroczne obraca...

Marynia zauważyła, że wszystko jest sadysonowane i wydane i pani Januarowa zaraz na nią wpadła:

- Ty też buzię za cioteczka otwieraj! Zastąpić ją może potrafisz? Do gospodarstwa dużo zawase ochoty miałas, prawda? Hefiki ci w głowie, muzyzka, kawalerowie, nie gospodarstwo! Ja też nie napędzam. Cóż? macocha jestem! Ludzie zaraz powiedzą, że przesładuję, gnębię. Ale ciekawam, co zrobisz, jeżeli kto z gości przyjedzie? Cioteczka po nocach poezje czytuje, a we dnie po lasach się wałęsa, ty zaś kluczami dswonić tylko umiesz. Niechże kto z gości przyjedzie: zobaczymy, czy jak kluczami podzwonias, wszystko będzie jak potrzeba!

Jak raz przyjechał. I ktoś jeszcze? Sam pan Seweryn Doraza,...

Pan January irytację ukrył i tylko głośniej niż zwykle sapał; ukryłaby zapewne i pani Januarowa, gdyby nie znalezienie się samego pana Seweryna, w najwyższym stopniu niestosowne. Zaledwie do podwieczorku zasiadł i właśnie w chwili, gdy żadna gosposia, z pędem gwoździów w złotych włosach i z najmiłym uśmiechem zaczęła czynić mu wyrzuty, że tak długo przy tym stole go nie widywała, spojrzął na pustą krzesło panny Róży i zapytał:

- Jednej osoby z towarzystwa państwa nie widzę. Może chora?

Zdawać się mogło, że silnie zaniepokojonym czuł się myślą, że może być chora, i to właśnie naszą, tak rozsądną panią Janaurową z rozmowy wytrąciło. Porywco i bez namysłu odpowiedziała:

- Gdzie tam! Zdrowa jak ryba, tylko poszła do lasu z nieboszczykiem narzeczonym romansować!

Gdyby była chwilę namyśliła się, nie byłaby tych słów wyrzekła, bo przecież wiedziała o, jak i przy kim mówić wypada, ale krew nie woda: irytacja! W irytacji natura właściwa człowiekowi wykakuje z niego jak wilk z lasu. Pan Doraza skrzywił się, jakby go coś we środku ukłuło, bo gburowatości waselkiej strasznie znosić nie mógł, a pan January, chcąc naprawić niestosowne odezwanie się żony, ubolewającym tonem do sąsiada przemówił:

- To smutna historia... bardzo smutna...

- Znam ją dobrze - odpowiedział pan Seweryn.

- Jest to rocznica dnia, w którym wszyscy poże-

gnaliśmy odjeżdżającego...

- Wiem o tym - odrzekł znowu pan Seweryn, coraz bardziej zasępiony i sztywniejący.

Panią Januarową ton ubolewający męża i astrywność gościa jak szpilki kłudy. Jednak z wielką słodyczą w głosie przemówiła:

- Mój Janusiu, tak o tym mówiasz, jakby ten tragiczny wypadek zaszedł miesiąc albo rok temu. Panna Róża jest już tak... Działo się to tak dawno...

Szwagier wpadł jej w mowę: - Le kier na pas de ryt!

A ja ośmieliłem się wyrazić uwagę:

- Pamięć bywa różną, pani dobrodziejko; jedne pamiętają miesiąc, rok, inne przez całe życie zapomnieć nie mogą.

Pani Januarowa, strażkę morderczą we mnie z ócz ciakając, prędko odpowiedziała:

- Szczególniej, jeśli nie innego do pamięci wpaść nie mogło!

- Owszem, tym razem mogło - odezwał się znowu pan Seweryn.

Pani Januarowa z prawdziwie oszarującym uśmiechem do niego przemówiła:

- Przecież odtąd pan Bronisław odjechał, o pannę Różę nikt się nie starał, i za mąż wyjść nie mogła.

- Owszem, mogła - powtórzył pan Dorsza.

Ogromnie tym powiedzeniem nas wszystkich zadziwił, bo istotnie o żadnym konkurencie do ręki panny Róży nikt z nas nigdy nie słyszał. On zaś milczał chwile, namyślał się, a potem żyłeczko od kawy na spodku położył i tak po prostu, jakby komu dzień dobry mówił, wypowiedział:

- Ja trzy razy oświadczalem się o rękę panny Róży i trzy razy odmów otrzymałem.

- Jezus, Maria! - podskakując na krześle, jęknął pan January.

Pani Januarowa stała się białą, jak obrus na stole; świeże jej rumieńce od lat wielu i dziś mogłaby, gdyby chciała, zostać moją żoną i panią domu w moim Tęczowie. Nie chciała i nie chce. Może wiadomość o przyczynach, które jej wolą kierują, opinie państwa o niej poprawi, w oczach państwa ją podniesie, położenie, które zajmuje tu, polepszy. O to mi idzie tylko...

Do pana Januarygo się obrócił:

- Pan dobrodziej przypomina sobie, że z bratem pańskim, Bronisławem, żyłem w przyjaźni serdecznej. Narzeczoną jego znałem; podobała mi się, ale się w niej nie kochałem, i tyle tylko, żeśmy stanowili trójkę przyjaciół. Była to trójka romantyków. Mieliśmy wiele wiary, miłości i nadziei; Broniek za nie głową nałożył, ja poszedłem na długo tużnąć się po szerokim świecie, panna Róża została sama. Powróciwszy z wędrowki, pojechałem zaraz do Dworców, aby dowiedzieć się o losach narzeczonej przyjaciela. Były one podówczas względnie dobre. Z pierwszą panią tego domu w przyjaźni i harmonii żyła, i jakkolwiek przez to, co się stało, przyódmiana, była jeszcze świeżą, kwitnącą...

- Czy była kiedykolwiek kwitnącą? - zapytała pani Januarowa z cicha, bo oś ją w gardle dźwawił zacynało.

Pan Dorsza, spokojnie na nią patrząc, powtórzył:

- Była głiozna. Nie tyle może doskonale piękną, ile pełną wdzięku i życia. Była żywą i wesołą. Pani z trudnością temu uwierzy? Prawda, jest ona teraz tylko cieniem samej siebie. Ale nierzadko zdarza się na świecie, że człowiek długo idzie za samym sobą, jak cień wierny i ciemny pełźnie w noc księżycową za wesołym i żwawym człowiekiem. I bywa, że gdy człowiek właściwie już przeminął, cień jego długo jeszcze trwa. Ale w czasie, o którym mówię, panna Róża znajdowała się w kwiecie młodości, a młodość to taki ptak, który zsa najgrubszej chmury jeszcze słońca dopatrzy i oho z ołowiem na skrzydłach, jeszcze ku niemu wzbijać się próbuje. Uśmiechnęła się do mnie myśl wspólnego z tą kobietą rozpędzenia chmur i wzbijania się ku słońcu. Pokochałem ją i w siódmą rocznicę odjazdu Bronisława, na tym miejscu, na którym ostatni raz go pożegnała - na którym dziś znajduje się zapewne - powiedziałem jej, że użyczy mi niewypowiedzianie szczęśliwym, jeżeli zechce zostać moją żoną.

- I oóż? I oóż? - zapytały dokoła stołu głosy ledwie dyszące od zdziwienia i ciekawości, a pan Seweryn tonem zwyczajnego opowiadania mówił dalej:

- Odmówiła. Płakała, dziękowała mi za dobre dla dla niej uczucia i chęci, ale wciąż powtarzała: "Nie mogę! Tak kocham go jeszcze, tak nieustannie stoi mi on przed oczyma... tak kocham go, że nie mogę!" Potem jeszcze dodała: "Tak mi go żal, tak mi go żal!" I mówiąc to płakała tak ciężko, jakby ży z męką niezmierną dobywały się z samego dna jej serca... Odmówiła.

Spuszczonymi powiekami wzruszenie źrenic okrywając, nie tylko spokojny, ale trochę sztywny, pan Seweryn do pana Januarygo znowu mowę zwrócił:

- A po raz drugi zdarzyło się to wówczas, gdy wieść mię doszła, że pan dobrodziej w powtórne związki małżeńskie wstąpić zamierza. Byliśmy już oboje, ja i panna Róża, daleko starsi, lecz jeszcze nie starzy. Ja miałem lat czterdzieści parę, a ona trzydzieści kilka. - Przyjechałem, znalazłem ją przygotowującą dom na przyjęcie nowej jego pani i w ogrodzie powtórzyłem to, co przed kilku laty mówiłem w lesie. Przychylniej odpowiedzi pragnąłem nie mniej niż przedtem, owszem, zapewne silniej, bo słońce mego życia przeszło już punkt południowy i rzucać zaczęło na świat smugi melancholijne; osułem zalatujący powiew wieczoru; tkwiło we mnie głębokie i niepozbyte pragnienie stworzenia przed nocą dla siebie i dla niej cichej i ciepłej przystani. Byliśmy zresztą w wieku najlepiej sprzyjającym energicznej, wspólnej pracy, a także tym uczuciom, które głęboką i twardością wynagradzają to, co im z zapachu młodzieńczego ubyć mogło. Wszystko to przedstawiłem panie Róży - i tym razem, śmiem poohlebiać sobie, że słowa moje ją wzruszyły. Zdawało mi się, że był moment, w którym wyraził zgodzenia się na moją prośbę rozlegały się w jej sercu i przemocą na usta wybiec chciały. Nie wymówiła ich jednak; prosiła o parę dni do namysłu. Po dwóch dniach przyjechałem znowu: znalazłem ją mizerną, pobladłą, tak wyglądającą, jakby z ciężkiej choroby powstała. Ale gdy o decyzję ją zapytałem, wzrok jej błagał mię o przebaczenie, a głową przecząco wstrząsała, długo mówić nie mogła.

Potem mówiła, że gdyby Broniek umarł był w sposób zwyczajny, to może... ale tak!... "Jemu śmierć przedwojska i męczeńska, a mnie życie szczęśliwe: cóż to za sprawiedliwość! Nie mogłem! To mój święty! Nie odstąpię go nawet dla najlepszego z ludzi". Było to już coś innego, niż wprzód. Oblubieniec namiętnie kochany uległ metamorfozie: fale tęsknot i myśli przekształciły go w świętego, a dusza, umiejająca czuć i rozumieć świętość, nie chciała wyrzucić jej z siebie w zamian ziemskiego szczęścia, którego jednak pragnęła. Z umarłym walczyć trudno. Odjechałem zwyciężony.

Nie podobna mi nawet wyobrazić sobie, jaką miłą mieć mógłem wszystkiego tego słuchając, to tylko wiem, że ze trzy razy chustkę do nosa z kieszeni wyjmowałem. Co schowam, to znowu potrzebna. Patrząc, aż u tego pustaka Zygmunia źrenice jak zza szybki pomiędzy powieki wstawionych przeglądają, kończyk wąsika w palcach krępi, wyprostowany jak struna, i zza szybki szklanych, które nieruchomo w oczach stoją, w pana Dorszę jak w tęczę się wpatruje. On też, nie wiem dla jakiej przyczyny, do Zygmunia i do mnie teraz mowę zwrócił i ciszej niż przedtem dodał:

- Bohaterstwem duszę jej podbił na zawsze. W aureoli świętego przed nią stał, i jak wierny od oktarza od obrazu tego oderwać się nie mógł.

- Wierny! - pomimo woli wymówiłem.

- Tak, ale na wszystko jest pewna miara. Siła serca, które pamięta i cierpi, wyzerpaną być może. Ośm lat minęło. Wieczór zapadał począł, Czas wrzyna się w człowieka jak piła w miąższ drzewa... Zwrócił się do pana Faustyna.

- Pan dobrodzieju się myli: le coeur a parfois des rides.

Pan Faustyn ze zmieszania aż zakręcił się na krześle.

- Ja... panie dobrodzieju, powiedziałem to tylko tak sobie... an parantess!

A pan Dorsza znowu głównie do mnie i do Zygmunia mówić zaczął:

- Ale czasem serce zmęczone więcej jeszcze słodczy i ukojenia pragnie, aniżeli świeże. A cóż może być słodsze nad otoczenie kobiety dobrej i kochanej serdeczną przyjaźnią i opieką? Prawda, że słońce nasze spłynęło już ku zachodowi, lecz mogą być jeszcze cudne ciche godziny o pogodnych zorzach wieczornych. Więc około trzech miesięcy temu, w czasie ostatniej bytności mojej w Dworkach, ponowiłem wobec panny Róży gorącą prośbę moją.

Oczy pani Januarowej stawały się prawie obłąkanymi. Więc to, co wymyśliła jako złośliwą i nieprawdopodobną drwinę, było tak ściśle prawdziwym!

- Tym razem spotkałem się znowu z czym innym. Panna Róża powiedziała mi, że jeżeli dotąd pamięcią i sercem pozostała wierna swemu... świętemu, to już rozstawać się z nim dla tej odrobiny czasu, który pozostał jej na ziemi nie warto. Powiedziała, iż tak długo już żyje ze swoją samotnością i ze swoim smutkiem, że stały się one drugą jej istotą, nawyknięciem, treścią życia, których wyrzucić z siebie i zastąpić czymś wcale przeciwnym nie podobna. Powiedziała, że według słów jednej ze swych ulubionych ksiązek, tak już dawno "żyje w cieniu śmierci", myśląc często nie tylko o tamtej, ale i o swojej, jako o wolnym wzlocie czegoś w niej nie-

wiadomego w oś poza nią niewiadomego, co wielkie jest i niezmiernie, a upragnione już przez to, że musi być wcale innym, niż wszystko, co jest tu. A z tego cienia, kto długi moment w nim przebędzie, nie podobna już wyjść na pełne światło, i z takich myśli, kto długo z nimi przestawał, nie podobna wejść w krąg szczerych uśmiech... To mi powiedziała i... zawołana przez lokaja, odeszła, aby podwieczorkiem państwa zarządzić...

Tu załamał się jakoś głos pana Seweryna: umilkł, a z tego milczenia korzystając, od dawna już wzburzony i silnie na twarzy zaczerwieniony nasz kochany, tłusciuchny pan January przypodniósł się na krześle, ręce gościa w swoje podkwycił i wstrząsając nimi, prawie ohlipiąc od płaczu mówił zaczął:

- Ja pana dobrodzieja bardzo, bardzo za kuzynkę moją przepraszam... Zacości kobieta, że tak o nieboszczyku Bronku pamięta, ale takiego jak pan oślowiaka obrażać, takie szczęście odrzucać - jakże można! jakże można! Niech pan dobrodzieju wierzy, że ja o niczym nie wiedziałem, bo gdybym był wiedział... przecież spokrewnienie się z panem dobrodziejem byłoby dla mnie zaszczytem, przyjemością... Teraz, dowiedziawszy się, kuzynce mojej uszytnię gorzką, gorzką wymówkę, a pana dobrodzieja raz jeszcze przepraszam za nią, bardzo, bardzo prze...

Wtem: "Zagrzmiało, runęło w Betleem ziemi!"; pani Januarowa, nie oczekując przemówienia męża wskiego, wstała od stołu, ale w taki sposób, że krzesło posunęło się za nią z grzmiotem i z wielkim stukiem na ziemię upadło. Po czym ona sama dziwnie jakoś krzyknęła i wybuchnęła wielkim jakimś śmiechem. Pokazało się, że globus hystericus, który od początku tej rozmowy ciągle ją dźwiżył, zupełnie teraz do gardła wlaźł, i dostała pierwasego w życiu napadu spazmów. Więc Idalcia, pan Faustyn i inni, pod ramiona ją schwyciwszy, do dalszych pokoi uprowadzili, pan January około posyłania po lekarzy się zakrzętnął, pan Dorsza odjechał, a w jadalnej sali tylko Zygmunt i Marynia, pod oknem siedząc, coś do siebie szepotali, i ja, przy stole, woiaż na jednym krześle, jak skała, tkwiłem. Od tego, com słyszał, w głowie mi się przewracało i nie tylko w głowie. Z zadumy wyrwać się nie mogłem.

Nagle Zygmunt zerwał się od okna i pędem strażły z pokoju wyleciał. Marynia także, spojrzawszy przez okno, zerwała się i jak błękitny ptak szybko wyfrunęła. Myślę sobie: co oni takiego na dziedzińcu zobaczyli? Czego tak polecili? Wstałem też, do okna podszedłem i - co państwo myśla, że zobaczyłem? Oba te dzieciaki leciały na spotkanie panny Róży, która właśnie w bramę dziedzińca wchodziła. Niosła z lasu wiąz liliowych dzwonek i świecących jak słońce żółtych anik. Lecz te kwiaty wysypały się jej do stóp, gdy ten pustak Zygmunt porwał jej ręce i niako schylony, tak całować je zaczął, jakby w te pocałunki całą duszę swoją wlewał. A Marynia ze swej strony oba ramiona zarzuciła jej na szyję i błękitną bluzką, jak promiennym obłokiem, do jej szarej smutnej sukni przylgnęła.



INSCENIZACJA

fragmentu noweli E.Orzeszkowej p.t."PANNA RÓŻA"

J.S.

W noweli "Panna Róża" najbardziej "teatralną" wydaje mi się scena głównego czytania. Ma ona jessze i to znaczenie, że podkreśla wartość głównego czytania, pokazuje zmianę nastroju, jakiej ulega grono rozbawionych osób pod wpływem pięknych słów poezji, odczytanych przez pannę Różę.

Przystępując do zorganizowania tej małej imprezy scenicznej musimy ustalić trzy rzeczy: 1/ charakterystykę osób, 2/ sytuację i 3/ tekst.

Charakterystyka osób:

Panna Róża	str.134-137.141.
Pani Januarowa	" 135-137.
Pan January	" 135-136.
Szwagier pani Januarowej	" 140.
Siostra " "	" 139.
Zygmunt	" 139.144.
Marynia	" 136.144.

/Tam gdzie książka nie daje wystarczających danych zespół sam opracowuje charakterystyki pozostałych postaci./

Sytuacja

Scenę rozwiązujemy dwuplanowo:

1/ na pierwszym planie stolik do kart, przy którym siedzi rozbawione towarzystwo, kończąc grę;
2/ w głębi, za kotarą /którą w odpowiednim momencie rozsuwamy/ pokój panny Róży wedle opisu na str.141

Wygląd sceny nie musi być wykonany ściśle według opisu autorki, może być tylko "zamarkowany" tak, aby podkreślić okoliczności i nastrój w jakim się scena rozgrywa.

Tekst

Str.141 od słów: Chocicie, państwo, literatkę zobaczyć ?

Str.142 do słów: Szczerście ją ominęło i potem nigdy się już z żadnym nie spotkała.

Poniżej podajemy brakujące zwrotki Psalmu VII J.Koohanowskiego:

2. Jeśli mnie, Panie, słusznie oszacował
Zły człowiek, a ma do mnie jaką winę;
Jeśli przyjaźni nie szczerze zachował,
A do złej oheci dał siebie przyczynę:
Niech nieprzyjaciel górę ma nade mną,
Niech mię w proch zetrze i moją oześć ze mną.
4. Powstań, o Panie wieczny, w gniewie Twoim
Przeciw złych ludzi niepobożnej radzie !
A powstań z pomstą, jakąś prawem swoim
Opisań; oto lud w wielkiej gromadzie
Wyroku Twego czeka : jeśli złemu,
Czy upaść przed Twym sądem ocnoliwemu ?
5. Przeto, o Sędzia, Sędzia wiekuisty !
Chociej na wysokiej sieć stolicy swojej
A jeśli jest praw i przed Tobą czysty,
Osądz mnie wedla niewinności mojej,
Złego złość zniszczy, a człowiek ocnoliwy
Jest w opiece Twej, Boże sprawiedliwy !
6. Jeśli się człowiek zły nie pohamuje,
Pan swój miecz ostrzy, Pan żuk nałożony
Na rękę trzyma i strzały gotuje
Smiertelne : zapadł w zaszcrość człowiek płony,
Niesprawiedliwość nosi, kłam urodzi,
Dół pod nim kopa, a sam weń ugodzi.
7. Sam się upęta w ohytrem sidle swoim,
Naci się obala wazytki jego złości;
A ja podparty miłosierdziem Twojem,
Próżem i troski i niebezpieczności,
Sąd sprawiedliwy i Twe imię, Panie,
Wyznawać będę, póki dusze stanie !

KOMUNIKAT

Pracownicy Polskiej YMCA na Polaków w Niemczech.

Pracownicy Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii od paru lat płać składki na cele społeczne.

Na jednej z ostatnich konferencji pracowników Polskiej YMCA postanowiono wpłać te składki na

Fundusz Społeczny Polskiej YMCA

z którego finansowane są prace Pol.YMCA dla Polaków wyzwolonych w Niemczech.Kwota wpłacona przez pracowników w W.Brytanii na ten Fundusz, w czasie od 1 stycznia do 30 czerwca 1945 r.wyniosła £ 144.15.0

TREŚĆ

I.W: Książka w świetlicy.113.-J.K.Bandrowski:Kukułka.115.-M.Konopnicka:Mendel Gdański.124.-K.Tetmajer:O ludzkiej biedzie.128.-E.Orzeszkowa:Panna Róża.134.-J.S: Inscen.z Panny Róży.144a.-Z życia Polskiej YMCA.113a.

WYDAWCA : POLSKA YMCA w W.BRYTANII, 61, EATON PLACE, LONDON S.W.1.

10, -

*Published by the Polish Y.M.C.A
in Great Britain
and Printed by
The Munro Press, Ltd., Perth*